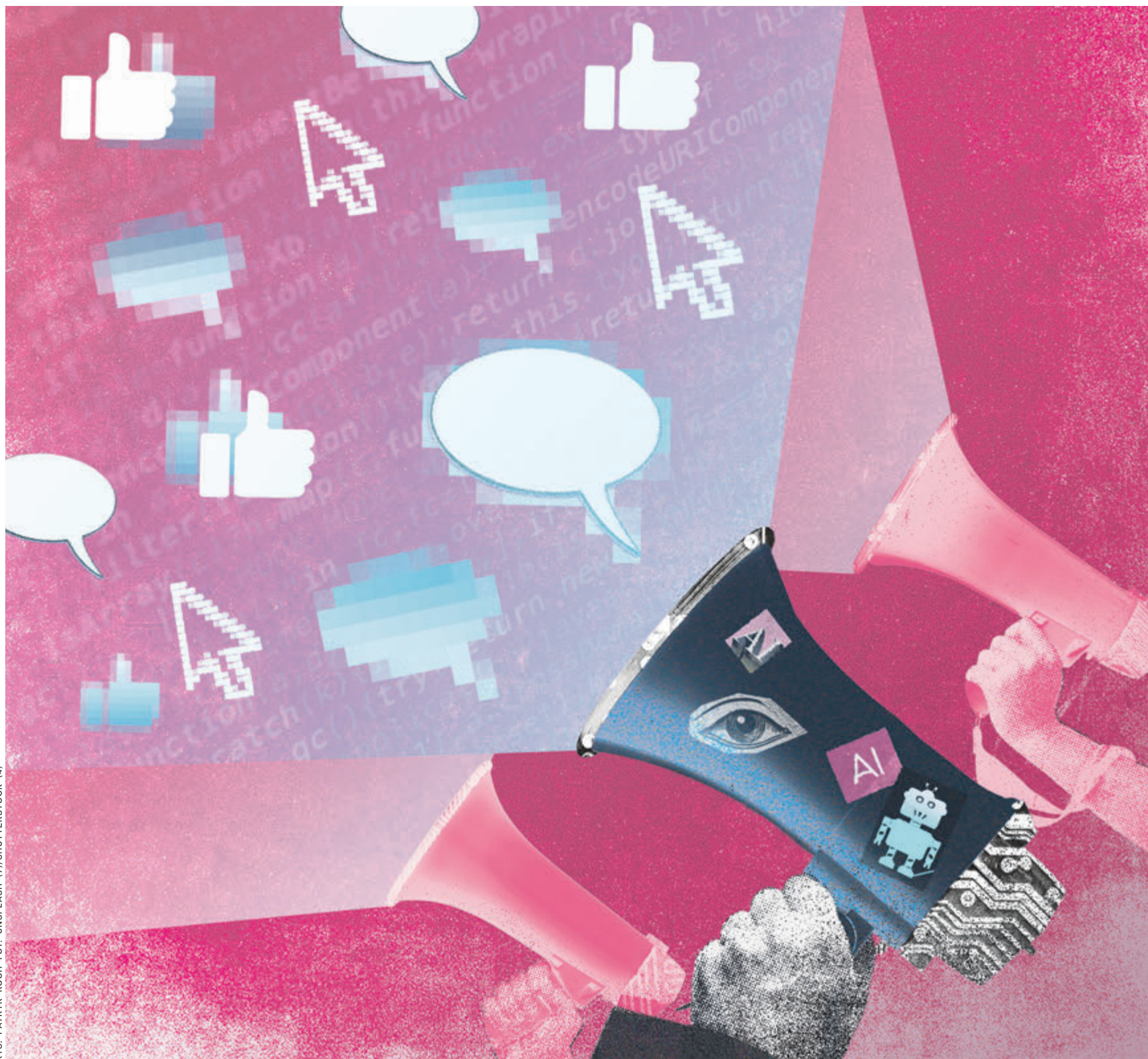


DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH FOT. UNSPLASH (7)/SHUTTERSTOCK (4)

Technologia / M3

Przemodelowani przez AI

Przez ostatnie cztery lata zaczęliśmy powierzać wyrażanie naszych myśli komputerom. Czy to, że niniejszego artykułu nie wygenerowała sztuczna inteligencja, to już wyłącznie kwestia wiary?
pyta Sebastian Stodolak

Technologia / M5

Zeskanuj i zmiel

Po co komu podręczniki z czasów PRL czy nieaktualne przewodniki turystyczne? Wszystko wskazuje na to, że hurtowo skupowane stare książki służą do trenowania chatbotów
pisze Emilia Świętochowska



Wywiad / M8

Jak jest szantaż, to są weta

Prezydent i jego ludzie muszą stać ponad sporami, które dziś są, a jutro może ich nie być
mówi Adam Andruszkiewicz

Kraj / M11

Bliska, bezpieczna i bez promocji

Polska wydaje na wsparcie turystyki kwoty porównywalne z rocznym budżetem Polskiej Fundacji Narodowej.
Czyli niewiele
analiza Piotra Wójcika



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Wybaczyliście Tuskowi, miejcie pretensje do siebie

Jan Wróbel

Rotacje w rządzie KO są częste i kto wie, kto jeszcze wsiądzie na rządową karuzelę. A także z niej zsiądzie. Zsiadanie przydarza się teraz Maciejowi Berkowi, a jego domniemana nominacja na sędziego Trybunału Konstytucyjnego wzbudziła ożywczą dyskusję. Otóż przyznam się: nie dziwię się, że Berek zgodził się przyjąć propozycję powyższą.

To oczywiste, że jest napięcie między pracą polityka a pracą sędziego. Ta pierwsza wymaga walki z..., fundamentem tej drugiej jest bezstronność. Czy nie jest podobnie w wielu innych zawodach? Dobrze, kiedy nauczyciel jest wyposażony w zestaw żelaznych poglądów na różne okazje, lecz wchodząc do klasy, chowa wiele z nich do kieszeni. W klasie nie wykorzystujesz uprzywilejowanej pozycji, by wymuszać aprobatę dla własnych przekonań w sprawie małżeństw gejowskich czy zapory na granicy! I tak dalej.

Pozostaje oczywiście kwestia, czy dany kandydat do TK chce i umie tak postępować. Z tego, co wiadomo o Berku, postrzega siebie jako osobę, która myśli

samodzielnie i umie obejrzeć nawet skomplikowaną bryłę z różnych stron, a nie tylko z jednej. Tym bardziej z partyjnej. Zakładając tożę, stajesz się głosem sprawiedliwości, a nie rządu – dolary przeciw orzechom, że eksminister zapytany, czy tak właśnie uważa, obraziłby się, bo właśnie tak uważa i chyba każdy to powinien widzieć.

Natomiast jako Donald Tusk nigdy bym politykom ze swojego otoczenia nie proponował funkcji sędziego trybunału. Bo są granice hipokryzji. Rację ma prof. Matczak: „Jeżeli taka decyzja zostanie podjęta, to będzie oznaczało, że premier Tusk w ogóle nie słucha ludzi. Jeśli to się zdarzy, będzie w pewnym sensie kpina z tych ludzi, którzy tysiącami wychodzili na ulice”. Miał na myśli ludzi wychodzących w czasach PiS na ulice, aby bronić polskich sądów przed ówczesną sejmową większością.

Cóż, pretensje, że uwierzyli Tuskowi, a następnie wszystko mu wybaczyli, byle tylko zapowiadał prześladowanie PiS, mogą mieć tylko do siebie.

©



FOT. FILIP STEVANOVIC/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

Świat / M14

Twardy zawodnik

Niemal rok po konfrontacji z demonstrantami prezydent Serbii wydaje się poddawać: ogłosił rezygnację ze stanowiska i przyspieszone wybory. Ale Aleksandar Vučić nie pozwoli się łatwo pokonać
pisze Mariusz Janik

DGP

Magazyn
na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Place:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania i skracania tekstów.
Rozpowszechnianie materiałów
redakcyjnych zarówno w formie elek-
tronicznej, jak i papierowej bez zgody
wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykl, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; ©© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Glowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wierczokiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biurowie Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

Zamówienia na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

Przemodelowani przez AI



RYS. PATRYK KOCH FOT. UNSPLASH (7)/SHUTTERSTOCK (4)

Przez ostatnie cztery lata zaczęliśmy powierzać wyrażanie naszych myśli komputerom. Czy to, że niniejszego artykułu nie wygenerowała sztuczna inteligencja, to już wyłącznie kwestia wiary?

Sebastian

Stodolak

Wiele osób spośród moich internetowych znajomych z dnia na dzień ujawniło nową zdolność. Okazało się, że nie tylko mają opinie na rozmaite tematy, lecz także potrafią je ubrać w rozbudowaną, spójną i klarowną wypowiedź pisemną. Ich profile na LinkedIn, Facebooku czy X nagle ożyły, tak jak gdyby otrzymali w prezencie od Boga dodatkową godzinę wolnego czasu dziennie i jednocześnie postanowili spożytkować

ją na dzielenie się ze światem swoimi przemyśleniami. Trend rozpoczął się 30 listopada 2022 r. i tylko się wzmacnia.

Treści bezjajeczne

To nie Bóg stał za darem, który otrzymali internauci cztery lata temu, tylko firma OpenAI.

Wtedy właśnie swoją premierę miał jej przełomowy produkt ChatGPT. Wszyscy pamiętamy, jak odkrywaliśmy niezwykle możliwości tego i kolejnych LLM-ów, czyli dużych modeli językowych, najnowocześniejszego

oblicza sztucznej inteligencji. Coś, o czym wybitny wizjoner sztucznej inteligencji Alan Turing tylko pisał, stało się rzeczywistością – przestało być jasne, czy rozmawiamy z maszyną, czy z człowiekiem.

O AI napisano już tysiące artykułów. Coraz więcej z nich powstaje z jej mniejszym lub większym udziałem. Jestem przekonany, że każdy przeglądający serwisy społecznościowe i czytający portale internetowe ma podobne – dość irytujące – wrażenie przewidywalności.

Nasz umysł jest ewolucyjnie wytrenowany do rozpoznawania wzor-

ców, bo na ich podstawie wypracowuje strategie służące przeżyciu. Takich właśnie wzorców „twórczość” oparta na LLM-ach dostarcza w nadmiarze i wskazują na to liczne badania lingwistyczne. Artykuły napisane przez AI od zera na bazie jednego promptu bądź nawet te tylko „zredagowane” przez AI cechują się przewidywalnym schematem i symetrią. Są poszatowane na wiele akapitów podobnej długości (tak jak zdania, z których się składają). AI wyjątkowo często używa porządkujących i łącznikowych zwrotów, takich jak „warto pamiętać” czy „podsumowując”, a także kon-

Istnieje zasadnicza różnica między użyciem sztucznej inteligencji do kosmetycznej obróbki własnego dzieła a powierzeniem jej jego wykonania od A do Z

kretnych słów (np. „delve”, „crucial”, „intricate”, czyli odpowiednio „zagłębiać się”, „kluczowy”, „złożony”). AI uwielbia też wyliczanki w formie punktów, kontrast i pseudofinezyjne zwroty w stylu: „Wszyscy oczekiwali, że na tym skończy swoją tyradę. To była jednak tylko gra wstępna”. Jednocześnie sama przekazywana przez AI treść jest miąka, wyprana z wyrazistości i pozbawiona odniesień do osobistych doświadczeń, o ile promptujący AI człowiek sam ich nie wprowadzi. Słowem, jest sterylna czy też po prostu – powiedzmy to sobie tak, jak żaden LLM nigdy by tego nie ujął – bezjajeczna. A im bardziej bezjajeczna jest dana treść, tym większa pewność, że to nie ludzka myśl za nią stoi.

Firma Pangram Labs opublikowała raport z analizy ponad miliona postów z najpopularniejszych platform społecznościowych, które zamieszczono pomiędzy kwietniem a czerwcem 2026 r. Okazało się, że ok. 14 proc. postów zawierających powyżej 50 słów zostało w pełni wygenerowanych przez AI. W przypadku tych zawierających 250 lub więcej słów odsetek ten rośnie do 26 proc. Wyniki różniły się jednak pomiędzy platformami. O ile na LinkedIn aż 41 proc. długich postów w pełni generowała AI, o tyle na X było to 24 proc., a na Substacku tylko ok. 10 proc.

Proporcje między twórczością w pełni pochodzącą od sztucznej inteligencji a w pełni ludzką przesuwają się na korzyść tej pierwszej. Trend, o którym tu piszemy, nie ogranicza się wyłącznie do świata mediów społecznościowych. W coraz większym stopniu obecny jest także w... nauce. Według badania opublikowanego w „Science Advances” co najmniej 13,5 proc. biomedycznych abstraktów naukowych z 2024 r. zostało zredagowanych przez model językowy. Z innej pracy – analizującej 280 tys. filmów o charakterze akademickim z serwisu YouTube – wynika, że po premierze ChatGPT także w mowie akademickiej zaczęli używać częściej słów, które są charakterystyczne dla AI. Tak więc AI układa nasze myśli z nami i za nas. To nie mylne wrażenie. To prawda.

Kwestia efektywności

Myśli zawartych w tym artykule nie sformułowała sztuczna inteligencja. Nie musicie wierzyć mi na słowo – wyraźnie widać, że brakuje mu tej boleśnie nudnej precyzji i przewidywalnego porządku. Niektóre jego tezy są też pewnie za ostre.

Czy jednak będę się zarzekał, że do tworzenia artykułów AI nie przydaje mi się wcale? Oczywiście, że się przydaje. Wpięte w Word AI przeprowadza korektę ortograficzną moich tekstów, a analogicznego dzie-

ła w dziedzinie gramatyki dokonuje Grammarly. Od 2022 r. natomiast wykorzystuję modele językowe (podobnie jak znakomita większość moich kolegów po fachu, czy się do tego przyznają, czy nie) do „risceru”, czyli przeglądu publikacji z zakresu, który mnie interesuje, oraz do recenzji (AI wychwytuje niedokładne cytowania, przekręcone liczby czy luki w rozumowaniu). No i do transkrypcji wywiadów. Potężna oszczędność czasu (trwa to 15 sek. zamiast trzech godzin).

Narzędzia AI z pewnością zwiększają efektywność pracy intelektualnej. Problem pojawia się tam, gdzie człowieka w tej pracy całkiem zastępują. Istnieje bowiem zasadnicza różnica między użyciem AI do kosmetycznej obróbki własnego dzieła a powierzeniem jej jego wykonania od A do Z. Pomińmy tu oczywisty moralny problem związany z celowym przedstawianiem wytworów AI jako własnych. Użyjmy przykładu pośredniego, który – jak się zdaje – dobrze ilustruje realne praktyki związane z AI.

Weźmy hipotetycznego pana Zdzisia, który jest szefem niewielkiej firmy reklamowej i od lat prowadzi aktywnie konto na LinkedIn, publikując swoje refleksje. Cieszą się one niewielkim zainteresowaniem, bo przyznajmy, że pan Zdzisio to żaden literat. Pewnego dnia w trakcie wielogodzinnej podróży samochodem doznaje on olśnienia – obmyśla koncepcję doskonałego skutecznego polityki podniesienia diety w Polsce i chce się nią jak najszybciej podzielić ze światem. Ale wiadomo, „jedziesz, nie pisz”, więc dyktuje główne elementy swojego pomysłu sztucznej inteligencji, prosząc, by je za niego logicznie poukładała, zredagowała i przygotowała do publikacji, co też ta usłusznie czyni. I robi to lepiej, niż zrobiłby to Zdzis. W rezultacie jego wpis uzyskuje niezwykle duże zasięgi, tysiące lajków i setki komentarzy.

Co ta historyjka nam mówi? Oczywiście wskazuje na to, że odpowiednio użyta AI oszczędza nam czas, ale nie tylko. Pan Zdzisio okazuje się jednym z wielu intelektualnych przeciętniaków, którzy używając cyfrowego dopalacza, osiągnęli coś, o czym wcześniej mogli tylko pomarzyć.

Przełóżmy teraz tę anegdotę na język nauki. W badaniu, którego wyniki opublikowano na łamach czasopisma „Science” w 2023 r., 453 twórcom powierzono zadania pisarskie o średnim poziomie trudności (np. stworzenie notki prasowej czy krótkiego raportu). Połowa z nich mogła używać ChatGPT. W tej grupie średni czas wykonywania pracy spadł o 40 proc., a jej jakość... wzrosła o 18 proc. Co więcej, największy wzrost produktywności zanotowano u osób najsłabiej piszących. W innym badaniu (opublikowanym w „Organization Science”), w któ-

rym udział brało 758 pracowników firmy consultingowej BCG, jakość wykonanej pracy rosła dzięki AI o ponad 30 proc., a czas wykonania spadał o 25 proc. I znów największą poprawę produktywności notowali najsłabsi uczestnicy badania. Jak jednak oceniać to, że na korzystaniu z pomocy AI w wykonywaniu zadań intelektualnych proporcjonalnie więcej zyskują przeciętniaczy niż osoby bardziej utalentowane? Matematycznie rzecz biorąc, przeciętniaków jest więcej niż geniuszy, więc powinno się to przełożyć na większą produktywność w gospodarce. Czy zatem z perspektywy efektywności należałoby wystawić pozytywną notę cyfrowej protezie myślenia, jaką jest AI?

Gdzie jesteśmy bez GPS

To pytanie, na które nie mamy jeszcze dobrej odpowiedzi. Można się jednak obawiać, że gdy pozwolimy sztucznej inteligencji wyręczać nas w samym myśleniu, to choćby miało to nam dać krótkoterminowy zysk, w długim terminie stracimy. Dlaczego?

Badanie Olivera P. Hausera i Anila R. Doshiego opublikowane w 2024 r. na łamach „Science Advances” wskazuje na zaskakujący paradoks: o ile na poziomie indywidualnym AI podnosi kreatywność, o tyle na poziomie kolektywnym istnieje ryzyko spadku liczby naprawdę nowatorskich treści. W ramach badania powierzono 293 autorom zadanie napisania krótkich opowiadań z dostępem do pomysłów fabularnych podrzucanych przez AI bądź bez niego. Wynik was już nie zaskoczy: pomysły AI podniosły jakość opowiadań napisanych przez autorów o najniższej wyjściowej kreatywności. Jednocześnie opowiadania pisane z użyciem sztucznej inteligencji były do siebie podobne w stopniu większym niż te pisane bez niej. Dodatkowo, jeśli ekonomiczna teoria bodźców jest prawdziwa, to zwiększenie obciążającego go myślenia użycia AI w szeroko pojętej twórczości intelektualnej może zniechęcać osoby utalentowane do dostarczania prac wysokiej jakości. Dlaczego? Bo jeśli dzięki AI każdy przeciętniak może napisać niemal tak dobry raport, analizę czy esej, jak osoba z dużą wiedzą i talentem, to jego pensja wzrośnie, a materialny dystans do osoby utalentowanej zmaleje. Po co więc ta druga miałaby się nadmiernie starać? Dla marginalnego zysku?

Nie stąd jednak bierze się główne zagrożenie związane z AI w tym kontekście, a stąd, że tak jak zanikają nie używane mięśnie, tak karleje nieużywany umysł.

W chwilach zmęczenia czy niedospania często wydaje nam się, że nie umiemy poskładać myśli. Z punktu widzenia neurobiologii tak faktycznie jest

– dochodzi wtedy do spadku metabolizmu glukozy, co paraliżuje zdolność kory przedczołowej do trzymania wątku i konstruowania zdań złożonych. Wyręczenie się AI w myśleniu może przynieść podobny skutek.

Brakuje jeszcze dobrych recenzowanych i replikowanych badań, które potwierdzałyby występowanie takiego zjawiska konkretnie w przypadku wpływu modeli językowych na naszą zdolność do rozumowania. Istnieją jednak wyjątkowo niepokojące badania z obszarów pokrewnych. W 2020 r. w „Scientific Reports” ukazała się praca Louisy Dahmani i Veronique D. Bohbot dotycząca wpływu GPS na naszą pamięć przestrzenną, który to rodzaj pamięci bazuje na hipokampie. Z badania przekrojowego wynika, że „osoby z większym doświadczeniem w korzystaniu z GPS w ciągu całego życia wykazują gorszą pamięć przestrzenną podczas samodzielnej nawigacji, tj. gdy muszą poruszać się bez pomocy GPS.” „Co istotne, stwierdziliśmy, że osoby, które częściej korzystały z GPS, nie robiły tego z powodu poczucia słabego zmysłu orientacji, co sugeruje, że to właśnie intensywne korzystanie z GPS prowadziło do pogorszenia pamięci przestrzennej, a nie odwrotnie” – piszą badaczki. Jeśli podobny efekt występuje w przypadku wyręczania się AI w pisaniu czy myśleniu, to oznaczałoby, że osoby korzystające z AI w taki sposób przez dłuższy czas powinny doświadczać regresu zdolności umysłowych. To zaś sprawi, że zakres zastosowania AI wzrośnie nawet do tego stopnia, że niektórzy staną się właściwie zupełnie zbędni w dziedzinach, w których pracują. Z kolei do dziedzin sobie obcych, w których AI trudniej zastosować, ze względu na obniżone zdolności kognitywne, a więc także na obniżone zdolności do nauki, nadawać się już nie będą. Rezultat: ogólna efektywność w gospodarce spadnie. Choć jest to wizja wyjątkowo czarna, to obecnie takiego ryzyka odrzucić nie można.

Sztuka składania myśli

Być może to wszystko jednak strachy na Lachy. Przecież podobny strach przed użyciem nowej technologii – mianowicie pisma! – wyrażał już Platon ustami Sokratesa w dialogu „Fajdros”. Opisał w nim mit o bogu Teucie, który chciał podarować pismo królowi Tamuzowi jako „lekarstwo na pamięć i mądrość”. Król podarek odrzucił, mówiąc: „Ten wynalazek niepomieć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć; zaufa pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, że znaków obcych jego istocie, a nie z własnego wnętrza, z siebie samego. Więc to nie jest lekarstwo na pamięć, tylko środek na przypominanie sobie. Uczniom swoim dasz tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą. Posiądą bowiem wielkie odczytanie bez nauki i będzie się im zdawało, że wiele umiemy, a po większej części nie będą umieli nic i tylko obcować z nimi będą

dzie trudno; to będą mędrcy z pozoru, a nie ludzie mądrzy naprawdę”.

Wszyscy wiemy, że pismo ani pamięci, ani mądrości ludzkiej nie zabiło. Przeciwnie, pozwoliło ją pomnożyć, dzielić się nią, rozwijać i utrwalac na wieki. Może więc ja też się mylę?

Oby tak było. Istnieje jednak jakościowa różnica pomiędzy wynalazkami pisma i AI. Pismo służy do zapisywania naszych myśli. W skrócie: służy myśleniu. Natomiast AI zapisuje za nas myśli, które często sama nam podsuwa. We frazeologizmie „składać myśli” tkwi wskazówka, co przez to tracimy – charakterystyczną dla człowieka umiejętność zbierania kołaczących się w naszej głowie spostrzeżeń, odsiewania tych sensownych od pozostałych, budowania z nich logicznych konstrukcji i komponowania ich w zrozumiałe komunikaty. Jeśli wyręczając się AI w myśleniu, korzystamy z tej umiejętności rzadziej, to składające się na nią połączenia neuronalne słabną. Stajemy się mniej spostrzegawczy i mniej krytyczni. W pracy opublikowanej przez Michaela Gerlicha na łamach „Societies” w 2025 r., którą przygotowano na bazie ankiet i wywiadów z 666 uczestnikami, wykazuje się ujemną korelację między częstym korzystaniem z narzędzi AI a myśleniem krytycznym. Efekt negatywny okazał się tym większy, im młodszy i mniej wykształcony był uczestnik badania. Niepokojące, prawda? To, że „Societies” wydawane jest przez MDPI i jako takie uchodzi za mniej prestiżowe czasopismo ze względu na łatwość publikowania w nim, nie powinno usypiać naszej czujności.

Co zatem robić, by zamiast stawać się zabójcą myślenia, AI pozostała naszym sprzymierzeńcem? Naomi S. Baron w książce „Who wrote this” daje pewną wskazówkę. „Stoimy przed dylematem w odniesieniu do sztucznej inteligencji i ludzkiego pisania: z czego zrezygnować, a co zachować dla siebie. Wybory są indywidualne. Aby jednak ułatwić ich dokonywanie, proponuję stworzyć własną kartę oceny pt. «Dlaczego autorstwo ludzkie ma znaczenie». Nie musi to być formalna karta, ale wyznaczenie kilku punktów odniesienia, które będą kierować Twoimi praktykami pisarskimi. Może: «OK, sztuczna inteligencja, przygotuj szkice moich odpowiedzi e-mailowych, ale to ja decyduję o gramatyce i stylu». Wyznacz swoje autorskie odpowiedniki stref wolnych od sztucznej inteligencji. Ale kiedy już to robisz, bądź szczery w ocenie presji czasu, siły woli, a czasem także lenistwa” – odpowiada. Autorka, profesor lingwistyki na American University w Waszyngtonie, ujmuję to jako poradę, ale mam wrażenie, że taka praktyka to konieczność.

Naomi S. Baron zauważa, że funkcja pisania wybiega daleko poza zwykłe utrwalanie informacji czy nawet myśli. To narzędzie służące nam do zrozumienia i zmieniania świata, w którym żyjemy, do wniknięcia w samych siebie i zmieniania samych siebie. W tych funkcjach AI pisania nie zastąpi.

©

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

Zeskanuj i zmiel. Jak AI żywi się starymi książkami

**Dziwny ruch na rynku
zaalarmował
antykwarium.
Po co komu podręczniki
z czasów PRL czy
nieaktualne przewodniki
turystyczne? Wszystko
wskazuje na to,
że hurtowo skupowane
stare książki służą do
trenowania chatbotów**

Emilia

Świętochowska

W połowie lipca Tomasz Gałązka, właściciel antykwiariatu Zakładka na warszawskiej Pradze, znalazł w swojej skrzynce enigmatyczną ofertę. Nieznana mu kanadyjska firma Zoom Books chciała kupić od niego książki – nie pojedyncze egzemplarze, lecz ilości hurtowe. „Nasza lista poszukiwanych polskich tytułów obejmuje ponad 800 tys. pozycji” – napisał Manoop Gill, współzałożyciel Zoom Books. Poprosił o przesłanie katalogu razem z cenami i numerami ISBN, najlepiej w pliku Excel. – Pomyślałem, że to jakiś fejk – coś w rodzaju spamu od księcia Nigerii – mówi Gałązka. Nie potraktował propozycji poważnie, ale mail wzbudził jego ciekawość. – Pracuję jako antykwarium od 20 lat. W tym czasie sprzedawałem do Kanady zaledwie kilka książek. Skąd więc to nagle zainteresowanie? – dopytywał. Firma wyjaśniła w odpowiedzi: „Zapotrzebowanie na książki w języku polskim ze strony społeczności i bibliotek polonijnych stale rośnie. Polska jest jednym z kilku rynków, na których budujemy długoterminowe relacje”.

Gałązka machnął ręką i pewnie zapomnieliby o sprawie, gdyby krótko potem nie natknął się na artykuł o tajemniczych firmach skupujących używane książki do karmienia modeli sztucznej inteligencji.

Idealne paliwo

Zoom Books przedstawia się na swojej stronie internetowej jako „lider recyklingu książek w Ameryce Północnej”. Przyjmuje darowizny, skupuje egzemplarze wycofane z bibliotek i opróżnia

magazyny sklepów charytatywnych. Pozycje bez potencjału rynkowego przekazuje zakładom, które przerabiają je na opakowania i chusteczki. Dyskusja na temat firmy rozgorzała wiosną, gdy antykwarium z całej Europy zaczęła zalewać fala nietypowych zamówień. Przychodziły nocą albo nad ranem, czasem po kilka, a czasem po kilkanaście z rzędu. Niektórzy w tydzień sprzedawali więcej pozycji niż przez cały rok. Rekordziści wyciągali na nich 30–50 tys. euro. „Od wczoraj otrzymaliśmy 10 zamówień, każde na 100 książek” – napisał na niemieckim forum branżowym Lesekauz jeden z handlarzy. Identyczne relacje spływały m.in. z Holandii, Hiszpanii, ze Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych, z Nowej Zelandii i RPA.

Antykwarium frapował nie tylko rozmach zakupów, lecz także wybór tytułów. Na pierwszy rzut oka nie było żadnego klucza. Firma Zoom Books zasysała głównie publikacje z lat 70., 80. i 90., które od dawna zbierały kurz w magazynach: opracowania na temat lokalnej historii, podręczniki z zakresu nauk technicznych, stare książki kucharskie, monografie o architekturze, praktyczne poradniki produkcji wina... Pozycje o niewielkim potencjale rynkowym, za to różnorodne tematycznie, bogate w informacje i napisane gęstym językiem – idealne paliwo dla dużych modeli językowych (LLM), których apetyt na złożone, uporządkowane treści ciągle rośnie. „Wiele z nich to tytuły wydane w nakładzie zaledwie kilkuset egzemplarzy, których biblioteki publiczne zazwyczaj się pozbywają i których praktycznie nie sposób już nigdzie znaleźć” – mówił „El Periódico” Marçal Font i Espí, właściciel antykwiariatu w Badalonie i wykładowca literatury na Uniwersytecie Barcelońskim. Nawet jeśli zawarta w książkach wiedza się zdezaktualizowała, można na nich uczyć modele schematów rozumowania. Choć nie ma jednoznacznych dowodów, że o to chodzi, trudno znaleźć inne sensowne wytłumaczenie. Komu dziś potrzebny przewodnik po restauracjach w Wiesbaden sprzed 50 lat?

Zoom Books pozyskuje wyłącznie publikacje opatrzone numerami ISBN (International Standard Book Number), czyli niepowtarzalnymi identyfikatorami wydań, które ułatwiają automatyzację masowych zakupów. Boty przeczesują katalogi po numerach ISBN, odsiewają powtarzające się tytuły i seriami zamawiają brakujące egzemplarze. Pewnie dlatego większość transakcji odbywa się na platformach handlu używanymi książkami. Najpopularniejszą z nich jest należąca do Amazona

AbeBooks, na której swoje oferty wystawiają tysiące niezależnych sprzedawców z ponad 50 krajów. – Mieliliśmy od Zoom Books kilka zamówień z rzędu, łącznie na kilkadziesiąt egzemplarzy. To nie były żadne starodruki. Głównie książki naukowe i popularnonaukowe wydane w PRL. Sporo dotyczyło historii Polski – opowiada nam pracownik antykwiariatu Poliart we wsi Koty na Śląsku, który od 15 lat sprzedaje książki na AbeBooks. – Sprawdziliśmy firmę w internecie i wyglądała na solidną. A co później robi z tymi książkami, to nie wiem – dodaje.

Początkowo wszystkie przesyłki trafiały do centrum logistycznego niedaleko lotniska w Chicago. Ceny poszczególnych egzemplarzy wahają się od 5 do 50 euro, więc koszty transportu i opłaty celne nierzadko przewyższały wartość całego zamówienia. Wkrótce adres wysyłki dla zamówień z Europy się zmienił – pierwszym przystankiem jest magazyn w miejscowości Kodersdorf, ok. 10 km od Görlitz. Nie ma pewności, co się dalej dzieje z książkami. Kiedy niespodziewany ruch w biznesie antykwarium przyciągnął uwagę mediów, firma Zoom Books oświadczyła, że „nie digitalizuje ani nie niszczy książek w celu trenowania modeli AI”. Zapytana o współpracę ze spółkami technologicznymi, odmówiła odpowiedzi, powołując się na tajemnicę handlową. Lista wpisów, które krótko wcześniej usunęła ze swojej strony, podsyciła jednak podejrzenia. Jeden z nich nosił tytuł: „Jak pozyskiwać używane książki do trenowania sztucznej inteligencji? Poradnik zakupów hurtowych”. Kolejny: „Dlaczego firmy AI potrzebują książek z każdej dziedziny”.

Głód danych

W 2024 r., dwa lata po premierze ChataGPT, nad Doliną Krzemową zawisło widmo wyczerpania się kluczowego zasobu napędzającego rozwój modeli językowych: terabajtów tekstów napisanych i udostępnionych przez ludzi online. „Osiągnęliśmy szczyt możliwości, jeśli chodzi o dane, więcej ich nie będzie” – ogłosił na konferencji NeuralIPS Ilya Sutskever, współzałożyciel OpenAI. O ile moce obliczeniowe można ciągle zwiększać, kupując coraz wydajniejsze chipy i budując kolejne centra danych, o tyle ludzka twórczość została wyskrobana z sieci prawie do cna: Wikipedia, artykuły prasowe, wpisy ze społecznościówek, publikacje naukowe, fora, blogi, dokumenty, pakiet spiratowanych e-booków... Firma badawcza Epoch AI prognozowała, ▷

że jeśli tempo zasysania się utrzyma, to oryginalne treści skończą się między rokiem 2026 a 2032. „Musimy sobie radzić z tym, co mamy. Internet jest tylko jeden” – mówił Sutskever.

Problemu niedoboru tekstów w języku naturalnym nie rozwiązały dane syntetyczne, czyli treści wygenerowane przez same modele. Ich wykorzystywanie zrodziło natomiast nowe zagrożenie. Badanie opublikowane na łamach „Nature” wykazało, że chatbot faszerowany danymi wytworzonymi przez LLM-y wcześniejszych generacji ulega stopniowej degradacji: udziela najbardziej typowych odpowiedzi, jednocześnie ignorując wyjątki i niuanse. Gdy umyka to, co rzadkie czy osobliwe, obraz rzeczywistości się wypłaszcza i zniekształca, aż zamienia się w psychodeliczny bohomaz. Po kilku sesjach treningowych model zaczął produkować powtarzalny bełkot, tak jakby zapominał podstawowych reguł logiki. Na prośbę o dokończenie zdania „Aby przygotować indyka na Święto Dziękczynienia, trzeba...” recytował niekończącą się listę produktów na obiad, a potem zapętlił się w nonsensownej mantrze: „...trzeba wiedzieć, co chce się zrobić ze swoim życiem, jeśli się nie wie”. I tak do znudzenia. W literaturze branżowej określa się to zjawisko zapaścią modelu (model collapse). Szacuje się, że już ponad połowa treści internetowych została wypłuta przez AI, więc inżynierowie muszą pilnować, by mieszanki podawane kolejnym wcieleniom ChataGPT i Claude’a zawierały odpowiednią proporcję jakościowych materiałów.

Książki są źródłem najcenniejszych danych do trenowania modeli. Pod względem kultury języka, wartości merytorycznej i spójności wywodu stanowią złoty standard. Teksty internetowe są często krótkie, niechlujne i urwane, a do tego zasypane śmieciami: słupem, spamem, błędami, klikbajtem, reklamami, toksycznymi treściami... Dobre książki przechodzą przez rygorystyczny proces redakcji i korekty, dzięki czemu w większości przypadków są wolne od literówek czy niepotrzebnych spacji. Ich autorzy używają zazwyczaj bogatszego słownictwa, budują zdania o skomplikowanej i zróżnicowanej składni, a swoje twierdzenia podpierają spójną, przejrzystą argumentacją. Modele trenowane na dłuższych narracjach czy specjalistycznych publikacjach umieją więc nie tylko porządkować części tekstu (tokeny) w proste zdania, lecz także wychwytywać bardziej skomplikowane wzorce statystyczne: łączyć rozproszone informacje, analizować szeroki kontekst, wykrywać zależności przyczynowo-skutkowe i wyciągać wnioski. Wysoka jakość danych przekłada się również na bardziej precyzyjne i lepsze stylistyczne odpowiedzi.

W miarę jak internet zalewała syntetyczna papka, firmy AI coraz bardziej odczuwały deficyt świeżych, nieskażonych treści. Wchłonęły już starsze pozycje z domeny publicznej i pirackie paczki z nowszymi tytułami. OpenAI i Microsoft wrzuciły do swoich chatbotów miliony artykułów z „New York Timesa”, co skończyło się pozwem o naruszenie praw autorskich. Zdaniem gazety praktyki gigantów naraziły ją na utratę subskrybentów i przychodów reklamowych. Meta była tak zde-

sperowana, że rozważała kupno wydawniczego giganta Simon & Schuster. Jej główny rywal znalazł tańszy sposób na zapewnienie sobie strumienia różnorodnych danych. Nazwał go Projektem Panama.

Destrukcyjny trening

W lutym 2024 r. Anthropic, twórca Claude’a, zatrudnił Toma Turveya, doświadczonego menedżera, który ponad 20 lat temu pomógł uruchomić budzącą kontrowersje cyfrową bibliotekę Google Books. Na dzień dobry Turvey dostał monumentalne zadanie. Miał skompletować kolekcję milionów tytułów, unikając przy tym – jak ujął to szef start-upu Dario Amodei – „prawnych, proceduralnych i biznesowych ceregieli”. „Projekt Panama to nasza próba destrukcyjnego skanowania wszystkich książek na świecie” – napisano w notatce dla pracowników. Pod spodem widniała adnotacja: „Używamy kryptonimu, bo nie chcemy, by ktokolwiek wiedział, że nad tym pracujemy”. Szczegóły procedury odtwarzamy na podstawie akt procesu wytoczonego Anthropicowi przez trójkę pisarzy, których książki posłużyły do trenowania chatbota.

Turvey początkowo liczył, że dogada się z wydawcami. Skontaktował się z kilkoma wiodącymi graczami, aby wysondować możliwość uzyskania licencji. Szybko doszedł jednak do wniosku, że byłoby to zbyt kosztowne. Prawa do tytułów w skali choćby zbliżonej do ich potrzeb pochłonęłyby fortunę. Kupienie i zeskanowanie papierowych wydań opłacało się o wiele bardziej niż wdawanie się w negocjacje z autorami. Turvey i jego zespół rozesłali więc wiadomość, że chcą hurtowo zamówić książki do swojej „biblioteki badawczej”, do dużych dystrybutorów. Ci nie zamierzali przepuścić takiej okazji.

W ciągu kilku miesięcy Anthropic wydał na zakupy dziesiątki milionów dolarów. Transze liczące często po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy – zarówno nowych, jak i używanych – spływały do magazynów pod Chicago. Gilotyną hydrauliczną usuwano im grzbiety, przycinano kartki do odpowiedniego formatu, a ich stosy ładowano do superszybkich skanerów. Po papierowe resztki przyjeżdżali pracownicy zakładu recyklingowego. Z cyfrowych kopii inżynierowie Anthropica kompilowali zestawy, które według nich najlepiej nadawały się do trenowania modeli, a następnie dorzucali je do „mieszanek danych”. Nie wiemy, ile dokładnie książek poszło na przemiał. Mamy tylko wskazówkę: firma Datamation, która zdobyła zlecenie, napisała w swojej ofercie, że w pół roku może zeskanować i zniszczyć od 500 tys. do 2 mln tomów.

Z tysięcy stron protokołów rozpraw, zeznań i wewnętrznych dokumentów



wynika, że szefowie Anthropica uważali książki za niezbędne dla zwiększania wydajności LLM-ów i zdobycia pozycji lidera AI. Zalety opublikowanych dzieł nie ograniczały się do pokładów ustrukturyzowanej wiedzy. Chodziło też o walory pisarskie – oryginalne środki stylistyczne i wciągające narracje. W wewnętrznej korespondencji menedżerowie nalegali, aby trenować modele na „treściach, które zaakceptowałby redaktor”, bo taki materiał uczy je „dobrze pisać, a nie posługiwać się niedbalym językiem internetu”.

Woleli ukraść

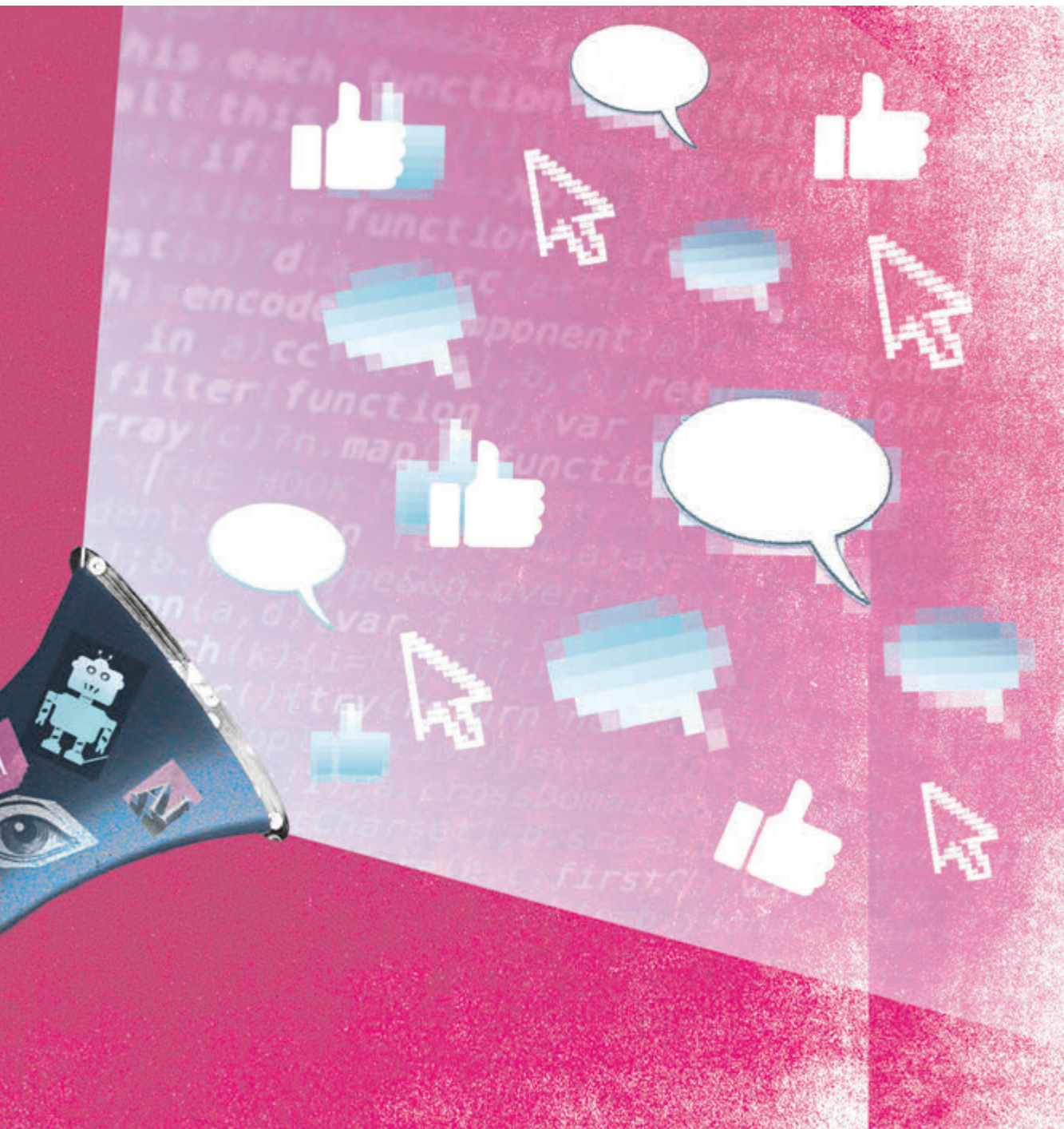
W lipcu 2023 r. pierwsi pisarze i wydawcy pozwali Metę i OpenAI za wykorzystanie ich książek jako materiału treningowego. Jednym ze źródeł cennych

danych był piracki pakiet o nazwie Books3 – kolekcja ponad 170 tys. pozycji, w większości opublikowanych w ostatnich 20 latach. Mniej więcej w tym samym czasie Andrea Bartz, mało znana autorka thrillerów klasy B, odkryła, że chatboty potrafią napisać opowiadanie brzmiące tak, jakby wyszło spod jej pióra. Gdy przeszukała bazę z tytułami Books3, natrafiła w niej na swoją powieść „We Were Never Here”. Znalazła się w doborowym towarzystwie – m.in. Stephen Kinga, George’a R.R. Martina, Zadie Smith, Olgi Tokarczuk i George’a Saundersa.

Rok później Bartz wraz z dwójką innych autorów – Charlesem Graebem i Kirkiem Wallace’em Johnsonem – w imieniu branży kreatywnej rozpoczęła walkę sądową z Anthropicem. W toku procesu wyszły na jaw szczegóły Projektu Panama, a także inne wątpliwe sposoby pozyskiwania oryginalnych treści np. to, że współzałożyciel start-upu Ben Mann osobiście ściągnął z nielegalnych zbiorów pokazny zestaw publikacji.

Latem 2025 r. federalny sąd okręgowy w San Francisco orzekł, że Anthropic naruszył prawa autorskie, pobierając miliony tytułów z „podziemnych” bibliotek, takich jak Library Genesis i Pirate Library Mirror. „Miał wie-

Jeśli każemy ChatGPT napisać opowiadanie imitujące frazę George’a Saundersa, odpowie, że może tylko uchwycić ogólne cechy kojarzące się z jego prozą. Inne modele wykonają jednak zadanie



RYS. PATRYK KOCH FOT. UNSPLASH (7)/SHUTTERSTOCK (4)

le możliwości legalnego zakupu książek, ale wolał je ukraść” – skwitował sędzia William Alsup. Na mocy ugody firma zgodziła się zapłacić twórcom 1,5 mld dol. Po 3 tys. dol. za każde dzieło. To najwyższe odszkodowanie w historii tego rodzaju sporów.

Mimo to pisarze odnieśli tylko połowiczny sukces. Sąd uznał bowiem, że „destrukcyjne skanowanie” i używanie legalnie zakupionych egzemplarzy do trenowania chatbotów mieści się w granicach dozwolonego użytku. Paradoksalnie zniszczenie drukowanych książek pomogło Anthropicowi się wybronić. Sędzia Alsup stwierdził, że firma jedynie zastąpiła papierowe wydania wygodniejszymi i zajmującymi mniej miejsca cyfrowymi wersjami. Nie rozpowszechniała ich w sieci ani nie wykonała dodatkowych kopii. Gdyby książki przetrwały skanowanie, start-up miałby dwa egzemplarze każdego tytułu, a wtedy jego szanse na wygraną byłyby słabsze. Ich zniszczenie pozwoliło mu pozbyć się jednego z problemów prawnych.

Bardziej skomplikowana jest kwestia uczenia chatbotów na książkach. Spółki AI utrzymują, że ich maszyny nie „zapamiętują” ani nie przechowują danych treningowych, a jedynie od-

wzorowują statystyczne zależności między częstkami tekstu. Gdy poprosimy Claude’a czy ChatGPT o podanie dłuższego fragmentu popularnej powieści, napotkamy opór. Modele mają bowiem wbudowane zabezpieczenia przed generowaniem materiałów chronionych prawem autorskim. Eksperyment badaczy ze Stony Brook University, Carnegie Mellon University i Columbia University wykazał jednak, że ograniczenia można obejść – po odpowiednim dostronieniu LLM-y potrafiły niemal bezbłędnie wyrecytować treść powieści Kazuo Ishigury czy Margaret Atwood na podstawie streszczenia fabuły (zgodność z oryginałem sięgała 85–90 proc.).

Ochronie prawnej nie podlega natomiast styl. Jeśli każemy Chat GPT napisać opowiadanie imitujące frazę George’a Saundersa, odpowie, że może tylko uchwycić „ogólne cechy” kojarzące się z jego prozą. Inne modele jednak wykonają zadanie. Andrea Bartz i inni autorzy przekonywali, że nawet jeśli chatbot nie przemycy użytkownikom całych rozdziałów, to może pomóc mniej utalentowanym pisarzom, czego efektem jest eksplozja wyrobów konkurujących z tytułami, na których zostały wymodelowane. Jedno z badań pokazało, że narracje stylizowane na twórczość

laureatów literackiego Nobla i Bookera, które tworzy AI, podobają się czytelnikom bardziej niż wzorowana na niej proza zawodowych pisarzy.

Kalifornijski sąd spojrzął na to inaczej. Jego zdaniem sztuczna inteligencja przypomina aspirującego autora, który wielokrotnie przeczytał dzieła klasyków i przyswoił najlepsze elementy ich pisarstwa, tyle że zrobił to nieporównywalnie szybciej i wydajniej. O legalności Projektu Panama przesądza transformacyjny charakter tej technologii. „Modele językowe Anthropic uczuły się na książkach nie po to, by je powielać, naśladować czy wypierać, lecz po to, by stworzyć coś przełomowego” – stwierdził sędzia Alsup.

Wyrok dał branży AI kolejny argument, by omijać wydawców i powierzyć skup książek pośrednikom. Na rynku powstała nowa nisza, w którą wskoczył nie tylko Zoom Books. Do holenderskich antykwariuszy zgłosiła się z listą 3 tys. poszukiwanych tytułów zarejestrowana w Singapurze spółka 2077AI. Interesował ją imponujący wachlarz pozycji od podręczników geomechaniki po opracowania irlandzkich baśni ludowych. ISBNdb, firma sprzedająca dostęp do bazy metadanych bibliograficznych, rozszerzyła swoją ofertę o pomoc

w hurtowym zakupie książek – nawet miliona w jednym zamówieniu. „Rygorystyczna umowa o zachowaniu poufności przy każdym zleceniu” – zaznaczyła na swojej stronie. Po nagłośnieniu sprawy przez portal 404 Media usunęła ofertę, tłumacząc, że „chciała jedynie sprawdzić zainteresowanie tego typu usługą”.

Książki na śmietniku

Kiedy Tomasz Gałązka opowiedział w facebookowej rolce o kanadyjskiej firmie poszukującej setek tysięcy polskich tytułów, skala i ton odzewu go zdumiały. Wśród ponad tysiąca komentarzy roilo się od apokaliptyczno-spiskowych interpretacji o wymazywaniu historii i zmierzchu kultury, o wielkim recesie i nowym średniowieczu. Wiele osób przywoływało dystopijną powieść „451 stopni Fahrenheita” Raya Bradbury’ego, kreślącą wizję świata, w którym czytanie książek jest zakazane, a za ich tropienie i palenie odpowiadają strażacy.

– To pokazuje, jak silna jest dziś nieufność wobec AI – uważa właściciel antykwariatu Zakładka. Przyznaje, że praktyka „destrukcyjnego skanowania” budzi u niego mieszane uczucia. – Z jednej strony może to być szansa na biznes i pozbycie się niezbyt atrakcyjnych tytułów, z drugiej, jak pomyśle, że tysiące książek trafi na przemiał, to mnie skręca. Niepokoi mnie też kwestia praw autorskich. Ja w to na pewno nie wejść, byłoby to sprzeczne z moim rozumieniem roli antykwariusza – tłumaczy.

Jego koledzy z branży potwierdzają, że sprawa nie jest zero-jedynkowa. – Ludzie codziennie wyrzucają na śmietnik tysiące książek i nikogo to nie oburza. A jak niszczy je firma AI, to od razu podnosi się alarm – zauważa Waldemar Szatanek, który prowadzi warszawską sieć antykwariatów Książka dla Każdego.

– Około 80 proc. pozycji wydanych w PRL jest dziś niesprzedawalne. O wielu tytułach nikt nawet nie słyszał. Niewykluczone, że za jakiś czas te książki bezpowrotnie znikną. Może więc zeskanowanie ich i wrzucenie do bębna sztucznej inteligencji ma sens? W ten sposób zawarte w nich idee mogłyby przetrwać – mówi Paweł Kołata, właściciel Antykwariatu Sobieski w Kaliszu. O przyszłość rynku antykwarycznego jest spokojny. – Sprzedajemy ładnie oprowane książki, pierwsze wydania i bibliofilskie cymelia, które zawsze będą mieć swoich amatorów – dodaje.

W europejskim świecie książkowym coraz głośniejsze słyhać jednak o konieczności skuteczniejszej obrony przed łupieżczymi praktykami firm technologicznych. W czerwcu grupa holenderskich wydawców uruchomiła platformę Bookpact.ai, przez którą, za zgodą autorów, mogą wyrazić zgodę na użycie danej książki do trenowania modelu, a spółki AI – składać oferty licencyjne. Problem w tym, że zbiory danych, którymi karmiono chatboty, są jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic Doliny Krzemowej. Poza przypadkami udokumentowanymi przez media reszta to tylko domysły. ©©

Kraj

Jak jest szantaż, to nie ma się co dziwić, że są weta

Prezydent i jego ludzie muszą stać ponad sporami, które dziś są, a jutro może ich nie być. W kancelarii chcemy rozmawiać z każdą stroną sporu, nie wchodzimy w to, kto ma rację

Z Adamem

Andruszkiewiczem

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Wygląda na to, że Pałac Prezydencki na całego wchodzi do gry przed przyszłorocznymi wyborami. Komentatorzy mają pełne prawo do własnej oceny aktywności prezydenta. Prezydent Karol Nawrocki jest w swoich działaniach konsekwentny i mogę pana zapewnić, że zarówno on sam, jak i my, jego ministrowie, skupiamy się głównie na polityce państwowej, a nie partyjnej.

Nieco ponad rok przed wyborami prezydent mówi: napiszę strategię rozwoju, która będzie punktem odniesienia dla przyszłego rządu. To jest wejście do gry.

Prezydent po prostu nie odłożył swojego programu wyborczego na półkę. Obecna arytmetyka sejmowa uniemożliwia nam realizację postulatów z kampanii Karola Nawrockiego. Mamy to nieszczęsne weto marszałkowskie, które nie istnieje w porządku prawnym, ale stało się dla Włodzimierza Czarzastego dźwignią polityczną. Prezydent wielokrotnie podkreślał, że mamy najstarszy rząd od 1989 r. i że liczymy na zmianę, niemniej propozycje w jego strategii rozwoju będą wypracowane przez zaplecze społeczno-doradcze. W radach prezydenckich zasiada łącznie 700 osób, które znają się na poszczególnych dziedzinach życia publicznego. Rady odzwierciedlają najważniejsze sektory państwa: od ochrony zdrowia, przez demografię, cyfryzację, bezpieczeństwo, po nowe technologie.

Strategia na kampanię parlamentarną będzie zbiorem pobożnych życzeń czy będą to

konkretne pomysły, a może nawet projekty ustaw? Znając prezydenta, będą to konkrety wypracowane przez rady, są w nich naprawdę silne nazwiska. Nie spodziewam się pięknie wyglądających na grafikach ogólników. Nie wiem, czy będą to projekty ustaw, ale nie wykluczam. Chodzi o założenia do realizacji dla przyszłego rządu. Będziemy oczekiwać, by stały się one punktem odniesienia dla wszystkich partii, które będą mogły zadeklarować współpracę z prezydentem w określonych kwestiach. Rząd się przecież zmienia, a prezydent pozostanie ten sam.

Brzmi to trochę tak, jak gdybyście chcieli obsadzić Karola Nawrockiego w roli nadpremiera. Pan prezydent przedstawi przysięszemu rządowi swoją strategię. Czy to naprawdę takie dziwne? Zostawiam te dyskusje o „nadpremierze” publicystom szukającym chwytliwych haseł. Prezydent Karol Nawrocki jest liderem z najsilniejszym mandatem społecznym. Nie wynika on tylko z wyborów, lecz także ze wzrostów poparcia notowanych w kolejnych badaniach opinii publicznej. Jest de facto liderem państwowym.

Andrzej Duda był w kampaniach parlamentarnych zazwyczaj nieobecny. Zarówno pan, jak i nasi czytelnicy chyba się zgodzą, że prezydent Karol Nawrocki jest wyjątkowy pod względem aktywności. To jest i będzie inna prezydentura niż te, które pamiętamy. I nie mówię tego



Adam Andruszkiewicz, zastępca szefa Kancelarii Prezydenta RP. W latach 2015–2025 poseł na Sejm, wiceminister cyfryzacji w rządzie PiS. W latach 2015–2016 prezes Młodzieży Wszechpolskiej

po to, by krytykować poprzedników. Andrzej Duda realizował swoją misję w zupełnie innych realiach. Lwia część jego prezydentury przypadła na czas, gdy mieliśmy rząd partii, z której się wywodził. Karol Nawrocki nigdy nie był członkiem żadnej partii, a mamy dziś rząd, który jest mu niechętny i mu nie sprzyja. Poza tym to polityk o innym charakterze. Karol Nawrocki nie chce być strażnikiem żyrandola. To nie leży w jego charakterze.

Jak będzie wyglądał patronat prezydenta nad paktem senackim na prawicy? Zaproście liderów partii, którzy się nie cierpią i – jak na konklawe – nie wypuścicie, dopóki się nie dogadają? Pomyślmy nad tym, ale chyba nie będziemy Polakom fundować oczekiwania na biały dym z Pałacu Prezydenckiego. (Śmiech) A mówiąc poważnie: pałac jest otwarty dla różnych sił politycznych, choć jasne, że głównie tych z prawej strony sceny. Widać to na przykładzie rad przy prezydencie – znajdziemy tam osoby mniej lub bardziej związane z Prawem i Sprawiedliwością, Konfederacją, narodow-

cami czy ze stowarzyszeniem Rozwój Plus premiera Mateusza Morawieckiego. Kancelaria Prezydenta to miejsce, w którym najłatwiej wszystkim usiąść i rozmawiać o Polsce. Ale żeby przejść do twardych rozmów, musi być chęć po różnych stronach. Na dziś jednak zarówno pan prezydent, jak i ministrowie skupiają się przede wszystkim na codziennej pracy państwowej.

Jak w Kancelarii Prezydenta odebraliście rozłam w PiS?

Wyborcy prawicy mają prawo być zdezorientowani. Myślę, że oczekują pracy oraz reprezentowania ich interesów i wartości, a nie walk, które sprawiają wrażenie wyłącznie przepychanek personalnych. My w kancelarii chcemy rozmawiać z każdą stroną tego sporu, nie wchodzimy w to, kto ma rację. Własne zdanie zostawiamy na rozmowy przy kawie. Prezydent i jego ludzie muszą stać ponad sporami, które dziś są, a jutro może ich nie być, ale zły krwimy mamy nadto. Pamiętajmy też o prostym fakcie: prawica wygrała wybory tylko wówczas, kiedy była zjednoczona.

Czy wy jako ministrowie będziecie kandydować do Sejmu lub Senatu? Na razie nie ma takich decyzji. Zadań od prezydenta mamy mnóstwo, nikt dziś nie myśli o starcie wyborczym, ale byłbym hipokrytą, gdybym na amen zadeklarował, co będzie za rok.

Przed wami jeszcze rok trudnej kohabitacji z rządem Donalda Tuska. Pierwszy rok był bardzo burzliwy: 41 wet i powracająca mantra, że gracie na zmianę władzy.

Ta teza może brzmieć nieźle, ale nie jest prawdziwa. Dowodem niech będzie przykład sprzed paru miesięcy, gdy Karol Nawrocki zgodził się na przesunięcie kilku miliardów złotych z prezydenckiego Funduszu Medycznego do NFZ, który ma problemy finansowe. Gdybyśmy chcieli wkładać kij w szprychy, takiej decyzji by nie było. Ale jeśli w kampanii wyborczej prezydent zapowiadał, że nie podpisze ustaw podwyższających podatki...

Nawet podatki od zysków międzynarodowych koncernów trzeba blokować?

Możemy rozmawiać o tym, kogo i w jakiej skali ostatecznie obciążają takie podatki. Często bywa tak, że w założeniach mają spaść na konkretną branżę, a potem okazuje się, że koszty ponosi konsument. Prezydent nie będzie brał na siebie odpowiedzialności za to, że mamy gigantyczną dziurę budżetową. Niech minister Domański to rozwiąże. Poza tym większość ustaw jest podpisywana przez pana prezydenta. I rzecz najważniejsza: każda konsultacja z Pałacem Prezydenckim na etapie kształtowania ustawy zwiększa szanse na podpis. Jak nie ma dialogu, tylko szantaż i gra metodą faktów dokonanych, to nie ma się co dziwić, że są weta.

W jakich przypadkach prezydent prowadził dialog?

Weźmy ustawę metropolitalną. Słyszałem wiele głosów, że samorządy

pomorski i śląski – nieprzychylnie przecież prawicy – wzmocnią się dzięki tej ustawie. Jednak autorzy projektu podeszli do sprawy konstruktywnie – przyjęli część poprawek, które zgłosiliśmy, i ostatecznie prezydent ustawę podpisał. Podpis pod ustawą o parytetach w zarządach spółek został uznany przez niektórych za ukłon w stronę Lewicy, więc trudno nam zarzucać okopanie się w zamkniętej twierdzy. Jeśli jest chęć dialogu, to jest szansa na podpis. Jednak zamiast cichej, spokojnej rozmowy często wygrywa strategia puszenia się i prężenia muskułów w mediach. Nic na to nie poradzimy, ale konsekwencje takiej postawy są, jakie są.

Taka cicha rozmowa pomogłaby w sprawie wymiaru sprawiedliwości i ustaw Waldemara Żurka? Nie wierzę w takie cuda.

Waldemar Żurek tego nie sprawdził. Trochę nie rozumiem postawy pana ministra. Mam wrażenie, że on nie do końca wie, w jakiej roli chce funkcjonować. Z jednej strony wchodził do rządu jako fachowiec i prawnik, który ma uporządkować wymiar sprawiedliwości, z drugiej strony – spodobały mu się brawa od radykalnej części elektoratu. Zbiera oklaski, jak grozi konsekwencjami politykom, na czele z prezydentem. To jest pułapka: oklaski mają swoją cenę, radykalni wyborcy żądają krwi, której on nie może dostarczyć, bo często chodzi o kwestie polityczne. Rozmawiamy w dniu, w którym prokuratura umorzyła postępowanie w sprawie apartamentów dla dyrekcji Muzeum II Wojny Światowej z czasów, gdy kierował nim Karol Nawrocki. Ile zostało dymu z kampanii? Waldemar Żurek nie wybrał drogi merytorycznej pracy, nie szukał porozumienia. Szkoda, ale to jego decyzja.

Dlaczego ściągacie młodych ludzi do Juraty?

Pan prezydent lubi łamać schematy. Pierwszy raz w historii prezydencka rezydencja w Juracie będzie otwarta, a nie otoczona aurą tajemniczości. Prowadzimy otwartą rekrutację dla ludzi w wieku 18–26 lat. Nie będą to młodzieżówki partyjne. Chodzi o to, by nie stracić dobrych relacji z młodym pokoleniem. Każde badanie pokazuje, że prezydent Nawrocki jest najlepiej oceniany wśród najmłodszych wyborców. Jako osoba odpowiedzialna za komunikację w sieci widzę to też po wynikach produkcji, które wypuszczamy. Szukamy sposobów, by ludzie mogli zajrzeć za kulisy, zobaczyć prezydenta na treningu z żołnierzami etc. Nie sztuką jest dziś wrzucić sztafety prompt do AI.

Czego można się spodziewać w Juracie?

Concertów, dyskusji, spotkania z prezydentem, z pierwszą damą. Celowo nie zaprosiliśmy mediów, żeby nie wyglądało to na wydarzenie pod kamery, niemniej każdy młody człowiek z telefonem może pokazać w mediach społecznościowych, co się dzieje za kulisami. Nie mamy nic do ukrycia, chcemy przebić bańki, a najłatwiej robić to w młodym pokoleniu. ©

Internet usypia naszą czujność

Z jednej strony tworzymy zabezpieczenia i aplikacje do odbierania dzieci z placówek, żeby obce osoby nie mogły wejść na teren szkoły, a z drugiej – wrzucamy zdjęcia dzieci do internetu, gdzie widzą je setki, tysiące, a nawet miliony osób, które mogą zrobić z nimi, co zechcą

Z Dominiką

Bartoszak

rozmawia Katarzyna Kazimierowska

Latem wiele osób chętnie dzieli się swoimi przeżyciami z wakacji w social mediach. Rodzice także chcą się pochwalić przed najbliższymi i znajomymi tym, jak spędzają czas z dziećmi – wówczas nazywamy to sharentingiem, czyli dzieleniem się wizerunkiem i informacjami o nieletnich w internecie. Z międzynarodowych badań wynika, że 75 proc. rodziców przynajmniej raz opublikowało zdjęcie swojego dziecka w sieci. To dużo?

Tak, przy czym w przypadku sharentingu kontekst nie jest aż tak istotny. Oczywiście nie powinno się stawiać na równi zdjęcia dziecka w czasie meczu piłki nożnej i zdjęcia dziecka na plaży czy podczas kąpieli. Mam na myśli to, że nasza intencja i kontekst nie mają znaczenia, bo dla osoby, która chce wykorzystać to zdjęcie w sposób niewłaściwy czy niezgodny z naszym zamiarem, w ogóle nie jest istotne, gdzie ono zostało zrobione.

Co to znaczy: niewłaściwy? Chodzi mi o takie działania jak kradzież tożsamości, gdzie już sama twarz wystarczy do produkowania treści cyfrowych, także tych wykorzystujących seksualność dziecka – jak w przypadku aplikacji, które pozwalają nam rozebrać sfotografowany obiekt bez względu na to, czy jest to dziecko czy osoba dorosła. Podobnie aplikacje, które pozwalają przeklejać twarz osoby sfotografowanej w sytuacji neutralnej do ciała w zupełnie innym, np. seksualnym kontekście. I choć możemy pomyśleć o wielu zabezpieczeniach, to jednak treści, które pojawiają się na platformach, szybko zaczynają żyć własnym życiem.

Zakładamy zwykle, że nikt bez naszej wiedzy nie wrzuca do internetu zdjęć naszych dzieci. Gdy sami robimy zdjęcia sobie czy dzieciom, często stosujemy ogranicze-

nia w dostępie do nich, uważnie je selekcjonujemy. Natomiast – co pokazują badania – stosujemy dużo mniej zabezpieczeń, gdy wysyłamy zdjęcia do babci czy cioci, choćby za pomocą WhatsAppa. Wysłanie zdjęcia komuś bliskiemu usypia naszą czujność. Wydaje nam się, że wizerunek naszego dziecka w telefonie krewnych czy przyjaciół jest bezpieczny, ale przecież nie wiemy, czy nie opublikują tego zdjęcia na swoim profilu, chwając się wnukami, albo czy nie prześlą go swoim znajomym. I nagle zdjęcia naszych dzieci są na wielu telefonach i platformach.

Celebryci wrzucają zdjęcia z wakacji albo świadectwa z paskiem swoich dzieci. My też chcemy się pochwalić. Potrzeba społecznej akceptacji naszych działań – w tym aprobaty dla naszego rodzicielstwa – jest ogromna...

Raczej nasze rodzicielskie ego. To jeden z podstawowych elementów dzielenia się wizerunkiem dzieci. Oprócz potrzeby archiwizacji ważnych chwil i podtrzymywania więzi z bliskimi za pomocą zdjęć powodem sharentingu jest też rodzicielska duma, która ma dwa wymiary. Jeden to chęć pokazania światu, że nasze dziecko jest kompetentne, zdolne, czego dowodem jest np. biało-czerwony pasek na świadectwie. Drugi to wymiar autoprezentacji, gdy chcemy zaprezentować siebie jako rodzica, opiekuna, który zadbał odpowiednio o rozwój dziecka. Jego sukces jest przecież efektem pracy rodzica. I choć przywykliśmy już do zdjęć celebrytów z dziećmi, to szokować mogły masowo publikowane zdjęcia świadectw szkolnych – z obu stron! – wrzucane na platformy społecznościowe, na których widać nie tylko oceny, lecz także dane osobowe dziecka. A o to chodzi w sharentingu – media społecznościowe i przemysł reklamowy znormalizowały obecność dziecka w przestrzeni publicznej w formie prezentowania jego wizerunku. I nie tylko nas to nie dziwi, lecz czujemy wręcz presję, żeby robić to, co inni. Bo jeśli nie wrzucam zdjęcia dziecka czy jego świadectwa,

to czy to oznacza, że jestem mniej dumna? Skoro świat się nie dowie, jakie jest wspaniałe, to czy moje zapewnienie mu wystarczy?

Badania, które pani cytuje w książce, pokazują, że rodzice coraz częściej są świadomi ryzyka związanego z publikacją wizerunku dziecka w sieci, a mimo to nie przestają tego robić.

Bez względu na to, czy publikujemy wizerunek swój czy swojego dziecka, to mechanizmy związane z dostarczaniem nagrody dla naszego mózgu są dokładnie takie same. I to jest trudne do przyjęcia, że co drugi rodzic dzielący się wizerunkiem swojego potomstwa w sieci publikuje go pomimo świadomości związanego z tym ryzyka. To znaczy, że uważa, iż choć pewne elementy jego życia powinny pozostać prywatne, to ich upublicznienie przynosi mu korzyści przewyższające w jego ocenie ryzyko.

Jakie to mogą być korzyści? Nagrodą jest np. jednoznaczny komunikat, czy to, co prezentuję, podoba się innym czy nie. Kiedy robimy to w realu, zwykle otrzymujemy reakcje opisowe, a ile osób, tyle opinii. W zależności od tego, w jakim kontekście się pojawia, ta ocena może być inna. Natomiast w przestrzeni cyfrowej, w mediach społecznościowych, te oceny są kwantyfikowalne. Dzięki temu mogą dokładnie sprawdzić na podstawie otrzymanych lajków, czy ten rodzaj prezentowania siebie albo mojego dziecka jest bardziej czy mniej pożądany. A pułapka, w którą wpadamy, czyli mechanizm uzależnienia od tych wzmocnień, sprawia, że chcemy więcej.

W jakim sensie?

Nasz mózg kocha wyrzuty dopaminy. W dodatku gdy wchodzimy na platformy społecznościowe, nigdy nie wiemy, czego się spodziewać. Ten efekt niepewności zawsze jest dla mózgu pociągający, a w konsekwencji – uzależniający. Jeżeli konkretne zdjęcie moje albo mojego dziecka otrzymało dużo polubień, to zaczynam analizować, co takiego w nim było, co spowodowało pozytywną reakcję, i próbuję to powtórzyć. A to może prowadzić do coraz większej radykalizacji treści, które zamieszczam, i coraz większego uprzedmiotowienia i instrumentalnego traktowania siebie, ale także dziecka. To już nie są motywacje związane z chęcią pokazania umiejętności córki czy syna oraz swojej dumy – teraz chodzi o to, że zrobimy więcej, żeby zaspokoić potrzebę naszego mózgu. Na przykład przygotowujemy dziecku konkretną stylizację albo zachęcimy do konkretnego wyrazu twarzy. Czasem wydaje nam się, że opublikowanie zdjęcia przyniesie pozytywne efekty – będę mogła edukować społeczność internetową w ważnej dla mnie sprawie albo może zadbam o osoby, z którymi nie widzę się na co dzień. Wracam do tego, że intencje w przeważającej części są czyste. Problem zaczyna się tworzyć na tym etapie, kiedy zdjęcie pozostaje poza moją kontrolą. ➤

Dziś chyba wszyscy chcemy się czymś wyróżniać, być w czymś ekspertami.

Instagram i TikTok to platformy nastawione przede wszystkim na komunikowanie obrazem. W związku z tym publikowanie na nich wiąże się też z tworzeniem określonego wizerunku, w ramach którego prezentujemy swoje wartości i przekonania – chcemy uchodzić za ekspertów albo promować określone wartości i w taki sposób będziemy też prezentować swoje dziecko. Mogę być mamą, dla której najważniejsza jest np. estetyka profilu. Wówczas będę stylizować dziecko w taki sposób, że ono w pewnym sensie, w skrajnej formie, stanie się moim traktowanym instrumentalnie akcesorium. A mogę być taką mamą, która z kolei wchodzi w nurt prezentowania rodzicielstwa bez upiększeń. Wtedy wydaje nam się, że na tych zdjęciach czy filmach nie ma elementu kreacji. Ale czy samo pokazywanie w ten sposób życia nie jest już elementem autoprezentacji?

Stylizowanie dziecka i monetyzowanie jego wizerunku to jednak coś innego. Głośnym echem odbiło się założenie przez celebrytkę Anielę Woźniakowską, znaną jako Lil Masti, promującej sharenting fundacji „Dzieci Są z Nami”. Z jednej strony reakcja publiczna była zdecydowana – włącznie ze zgłoszeniem sprawy do RPD i Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, z drugiej – gdy ktoś nam czegoś zabrania, reagujemy: moje dziecko, moja sprawa.

Dla mnie jest to trudny argument, bo tutaj dotykamy kwestii tego, co jest dobrem dziecka. Jako rodzice mamy stać na jego straży, ale właściwie jak definiować dobro dziecka? Konstytucja mówi, że mamy prawo wychowywać dziecko zgodnie z własnymi przekonaniem, o ile nie naruszamy jego godności. A zgodnie z Konwencją o prawach dziecka ratyfikowaną przez Polskę w 1991 r., rodzic nie ma prawa ingerować w sposób skrajny w życie prywatne dziecka. Nie ma też prawa narażać jego reputacji. I oczywiście rodzic małego dziecka z oczywistych powodów musi ingerować w jego prywatność, ale publikowanie wizerunku dziecka pozostaje według mnie jednoznacznie w sprzeczności z ideą samostanowienia i autonomii dziecka. A ponieważ według badań do 2030 r. za kradzież tożsamości w 30 proc. odpowiedzialny będzie sharenting, zdajemy sobie sprawę z zagrożeń. I wobec tego jesteśmy w stanie przewidzieć, że pewne negatywne konsekwencje nasze dziecko niemal na pewno poniesie.

Zastanawiam się, czy można pokazać zależność między publikowaniem wizerunków dzieci w mediach społecznościowych a wrzucaniem przez nie na TikToka czy Instagrama własnych zdjęć i filmików, często o podtekście seksualnym.

Jako rodzice jesteśmy modelami dla naszych dzieci, także jeśli chodzi

o zachowania w sieci. I bez względu na to, czy publikujemy wizerunek swój czy dziecka, pokazujemy mu, na co jest przyzwolenie, a na co go nie ma. Gdy publikujemy wizerunek dziecka, ono uczy się, że także może być elementem kreowania wizerunku rodzica, czyli może być potraktowane instrumentalnie czy przedmiotowo. Może być źródłem satysfakcji rodzica, zapośredniczonej przez pozytywne reakcje, które dostaje na platformach społecznościowych. W skrajnym przypadku dziecko dostaje komunikat, że musi zostać uprzedmiotowione, żeby stać się źródłem przyjemności dorosłego, a w najbardziej skrajnym – także przyjemności osób obcych.

Jeżeli przez okres dorastania dziecko karmione jest komunikatem, że bardzo ważna jest jego powierzchowność, że jest pozytywnie oceniane za to, jak wygląda, a nie kim jest, to z dużym prawdopodobieństwem z czasem zacznie myśleć o sobie w ten sposób, co znajdzie odzwierciedlenie choćby na TikToku. Takie dziecko dorasta z poczuciem, że jedyny sposób, w jaki może wchodzić w interakcję ze światem i dostać od niego pozytywny feedback, to wygląd – w skrajnych przypadkach także jego seksualizowanie.

A młodzi ludzie dostają telefony coraz wcześniej. Raport „Internet dzieci 2026” obejmuje już siedmiolatkę.

Dajemy dzieciom dostęp do platform i do internetu w najgorszym momencie. Przygotowany przez Państwowy Instytut Badawczy NASK raport „Nastolatki 2025” pokazuje, że co czwarte dziecko do 9. roku życia ma już telefon z dostępem do internetu. A ten 9. rok życia to moment, kiedy zaczynamy dojrzewać. W naszym mózgu zachodzą duże zmiany funkcjonalne, intensywnie rozwija się układ nagrody, a jednocześnie mamy bardzo niedojrzałą korę czołową, czyli obszar odpowiedzialny za regulację emocji, przewidywanie konsekwencji i myślenie długofalowe. Wyposażamy dzieci w narzędzie do tego, żeby cały czas stylizowały układ nagrody bez żadnych ograniczeń, a jednocześnie zapominamy o tym, że nie mają żadnych narzędzi i zasobów, żeby się przed tym obronić.

Także przed seksualizującymi je obcymi w sieci.

Przed wszystkim dziecko nie ma narzędzi, żeby nazywać i rozgraniczać, co jest seksualne. Jeżeli dziecko dostaje pozytywne wzmocnienie za to, że się np. zalotnie uśmiechnie – z jego perspektywy w sposób zupełnie niezwiązany z seksualnością, ale który może być przez inne osoby właśnie tak odbierany – to będzie to powtarzać. Dziecko trenowane od małego do przyzwoitego uśmiechania się czy pozowania w określony sposób do filmików rodziców staje się w pewnym sensie bardziej podatne na uprzedmiotawianie przez innych. Jednocześnie przyswajają komunikat od rodziców, którzy chętnie dzielą się jego wizerunkiem czy prezentują go w określony sposób – że jego podstawową wartością jest wygląd, a nie kompetencja, wiedza czy umiejętności. Dziesiątki

badan pokazują, jak taki komunikat sprawia, że spadają zdolności poznawcze i motywacja dziewczyn do zdobywania osiągnięć (szczególnie w naukach ścisłych).

Jak tę wiedzę przekuć w rozwiązania prawne? Bo świadomości osób zamieszczających wizerunki swoje i bliskich w sieci pewnie szybko nie zmienimy.

Nie lubię tego słowa, bo mam wrażenie, że ono zawsze rozładnia dyskusję, ale rozwiązania rzeczywiście muszą być systemowe, na wielu poziomach. Na przykład w Stanach podstawowym działaniem prawnym w obszarze sharentingu jest zabezpieczenie praw finansowych nieletnich. Jeżeli wizerunek dziecka w jakikolwiek sposób przyczynia się do zarabiania pieniędzy, to prawnie są to pieniądze dziecka, które zostają zabezpieczone na odpowiednim rachunku dostępnym dla niego po osiągnięciu określonego wieku.

A w Europie?

We Francji oboje rodzice współdecydują o publikowaniu wizerunku dziecka. Jeżeli jedno z nich nie wyraża zgody, to rozstrzyga to sąd – ma prawo zakazać publikacji. Kara za publikowanie bez zgody może wynosić do 45 tys. euro, a w skrajnych przypadkach sąd ogranicza prawa rodzicielskie.

Co pani myśli o tych propozycjach?

Uważam, że wynagradzanie dziecka za jego pracę w sieci jest działaniem w kierunku jego upodmiotowienia. Jednocześnie obawiam się, że to może być wykorzystywane jako argument, który doprowadzi do zintensyfikowania sharentingu i do nadużyć. Zapewniam dziecku lepszą przyszłość, jest ono sprawiedliwie traktowane, więc nie muszę nakładać na siebie żadnych ograniczeń. Chciałabym, żeby można było rozważyć kwestię zgody dziecka. Ale czy jesteśmy w stanie tak zakomunikować nasze działania i ich konsekwencje dziecku np. w wieku przedszkolnym, że ta zgoda rzeczywiście będzie świadoma? Według mnie nie. Dlatego potrzebne są programy edukacyjne dla rodziców i dzieci w obszarze bycia w sieci i wyrażania zgody, zwłaszcza przez dzieci, na robienie im zdjęć przez znajomych czy krewnych. Nie chodzi mi o przesuwanie odpowiedzialności na dzieci, ale o to, by wiedziały, że mogą powiedzieć „nie” i nie zgodzić się na zdjęcie.

Druga rzecz to instytucje, które mają dostęp do wizerunków naszych dzieci, takie jak przedszkola, żłobki, ale też organizatorzy kolonii, obozów, wycieczek czy szkółek piłkarskich. Nad tym, co wrzucają do sieci, nie mamy kontroli.

W instytucjach, które są naturalnym środowiskiem obecności dzieci (bo internet nim nie jest) – przedszkolu, żłobku, szkole, na zajęciach dodatkowych – mamy prawo zakomunikować, że nie chcemy, by umieszczały w sieci zdjęcia naszych dzieci. To szokujące, jak internet usypia naszą czujność: z jednej strony tworzymy zabezpieczenia i aplikacje do odbierania

dzieci z placówek, żeby obce osoby nie mogły wejść na teren szkoły, a z drugiej – wrzucamy zdjęcia dzieci do sieci, gdzie widzą je setki, tysiące, a nawet miliony osób, które mogą zrobić z nimi, co zechcą. Co więcej, mogą bardzo łatwo zlokalizować osobę na zdjęciu, poznać jej preferencje, przyjaciół i bardzo wiele informacji, które później ułatwią zdobycie zaufania tego dziecka. Zławsza że rozwój technologii pozwala na coraz sprawniejsze manipulowanie tymi treściami i ich wykorzystywanie. Dla wielu sprawców ten sposób wykorzystywania dzieci stał się łatwiejszy i bardziej dostępny, a przy tym pozostaje poza kontrolą. Oni sami podczas badań deklarują, że chętnie korzystają z ogólnodostępnych platform do pozyskiwania materiałów, które później stanowią treści wykorzystujące seksualnie dzieci.

Sejm właśnie przyjął nowelizację ustawy o opiece nad dziećmi do lat 3. Zakłada ona m.in. zakaz wykorzystywania wizerunku dzieci do promowania placówek – żłobków i klubików dziecięcych – na stronach internetowych i w mediach społecznościowych. To wystarczy?

To krok w dobrym kierunku, ale wciąż za mało. Po pierwsze, ustawa chroni wyłącznie dzieci do 3. roku życia w żłobkach i klubikach – a co ze szkołami podstawowymi, przedszkolami, placówkami prywatnymi? Dziecko przestaje być narażone na ten problem, gdy kończy trzy lata? Po drugie, i najważniejsze, to od rodziców zależy tu najwięcej: mogą być największymi obrońcami dziecka przed tym zjawiskiem, ale też źródłem największego zagrożenia.

Może zakaz dotyczący publikacji wizerunku dzieci w pierwszych latach życia w sieci uda się rozszerzyć na szkoły prywatne, organizatorów obozów, kolonii, klubików itp. Wiele kampanii informacyjnych, edukacyjnych dotyczących obecności dzieci w internecie, jest kierowanych do rodziców – i tak powinno być, bo, jak wspomniałam, to rodzice są zawsze na pierwszej linii i pierwsi ponoszą odpowiedzialność, ale też koszty, razem ze swoimi dziećmi, decyzji związanych z upublicznianiem wizerunku w sieci. Ale rodzice muszą mieć świadomość, że jako opiekunowie nieletniego do 16. roku życia mamy prawo nie wyrazić zgody na robienie mu zdjęć i publikowanie ich w internecie. Nie musimy się zgadzać np. na zapis w regulaminie obozu czy półkolonii, że udział dzieci w zajęciach czy koloniach jest równoznaczny ze zgodą na publikację ich wizerunku w sieci. ©



Dominika

Bartoszak

doktor psychologii i seksuolog kliniczna, autorka książki „Sharenting a seksualizacja dzieci i młodzieży”



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Bliska, bezpieczna i niewypromowana

W 2025 r. Kraków zanotował rekordowy ruch turystyczny, przyciągając 16,25 mln odwiedzających

Polska wydaje na wsparcie turystyki kwoty porównywalne z rocznym budżetem Polskiej Fundacji Narodowej. Mimo to coraz więcej obcokrajowców decyduje się spędzić czas nad Wisłą

Piotr

Wójcik

Polska przestała już być kojarzona na Zachodzie z niedźwiedziami na ulicach, odrapanymi relikwiami socrealizmu i blaszanymi budami odgrywającymi rolę sklepów. Od ostatnich kilku lat regularnie pojawia się w materiałach zagranicznych turystycznych influencerów jako całkiem atrakcyjne, a przy tym wciąż nie do końca odkryte miejsce spędzenia urlopu lub weekendu. Liczne filmy, w których zachodni turyści zachwalają nadwiślańskie miasta, mogą sprawiać wrażenie, jakby na świecie zapanowała swego rodzaju moda. Odwiedzanie Polski nie jest już ekscentryzmem jak przemierzanie stepów Azji Środkowej na rowerze, lecz zupełnie zwyczajnym sposobem na udane wakacje. Naszemu krajowi wciąż jednak bardzo daleko do statusu popularnej destynacji turystycznej.

Pozorny rekord

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego rok 2025 stał pod znakiem rekordowych wyników branży wypoczynkowej. Z obiektów noclegowych skorzystało niespełna 59 mln turystów, czyli 12 proc. więcej niż w 2024 r. W placówkach hotelowych przynajmniej jedną noc spędziło nad Wisłą 15,2 mln gości z zagranicy. W tym przypadku mowa jest o wzroście o 13 proc. Włącznie z innymi miejscami zakwaterowania (u rodziny, znajomych, najem krótkoterminowy itp.) obcokrajowców odwiedzających Polskę było nawet 21,4 mln, co jest najlepszym wynikiem w historii (wzrost o 8,5 proc. r/r). Wciąż jednak to mieszkańcy Polski zdecydowanie przeważają, chociaż ta różnica stopniowo się zmniejsza. W 2025 r. Polki i Po-

lacy odbyli 54,5 mln podróży turystycznych, czyli tylko o 3 proc. więcej niż rok wcześniej. Znaczenie mniejsza różnica występuje w wydatkach. Urlopowicze z innych krajów wydali nad Wisłą 41,5 mld zł (13 proc. w górę r/r), tymczasem mieszkańcy Polski 52,7 mld (wzrost o 7 proc.). Obcokrajowcy chętniej sięgają więc do portfela, chociaż to również efekt tego, że proporcjonalnie częściej wykupują noclegi w regularnych obiektach hotelowych.

Ubiegłoroczny rekord wygląda efektownie w porównaniu z rokiem 2024, jednak na tle czasów sprzed pandemii wypada nader skromnie. Według raportu OECD „Tourism Trends and Policies 2026”, w 2019 r. Polska przyjęła niespełna 21,2 mln turystów spoza kraju, czyli zaledwie 1 proc. mniej niż w 2025 r. Pandemia i zawirowania geopolityczne ➤

ne doprowadziły do głębokiego spadku liczby zagranicznych gości, który udało się odrobić z minimalną nadwyżką dopiero pięć lat później. Polska nie jest tu wyjątkiem na tle Europy Środkowej i Wschodniej. Gorsze wyniki zanotowały państwa bardziej nastawione na turystykę. W okresie 2019–2025 Węgry zaliczyły aż 15-proc. spadek liczby gości spoza kraju (z 16 mln do 13,6 mln). Podobny regres (14–16 proc.) zanotowały też Litwa, Łotwa i Estonia, chociaż akurat państwa bałtyckie nigdy nie przyciągały tłumów urlopowiczów. Dostępną popularną wśród narciarzy i amatorów górskich wędrówek Słowacja także zaliczyła spadek, chociaż dużo mniejszy, 2-proc. Podobnie było w dysponującej zarówno wysokimi Karpatami, jak i wybrzeżem Morza Czarnego Rumunii (spadek o 4 proc.). Czechy z niezwykle popularną Pragą na czele dopiero w zeszłym roku wyszły na zero. Dwuprocentowy wzrost liczby zagranicznych turystów w latach 2019–2025 w Chorwacji i Bułgarii jest wynikiem fatalnym – szczególnie dla tej pierwszej, która z turystyki żyje.

Popandemiczna stagnacja nie jest jednak normą. Tradycyjne urlopowe destynacje Europy Zachodniej znacznie zyskały na popularności i jeszcze bardziej odjechały naszemu regionowi. W 2025 r. Portugalie odwiedziło prawie 21 mln obcokrajowców, co oznacza wzrost o 20 proc. względem czasów sprzed COVID-19. Niewiele gorszy wynik zanotowała Hiszpania (wzrost o 16 proc.), co w jej przypadku przełożyło się na 97 mln odwiedzających z innych krajów. We Francji w ubiegłym roku udało się przebić granicę 100 mln (102 mln, 11 proc. w górę). Turcję wybrało 62 mln obcokrajowców, czyli aż 21 proc. więcej niż w 2019 r.

Krótkie odwiedzin

Branża turystyczna wnosi do polskiego PKB 2,7 proc., więc jej waga jest porównywalna z rolnictwem. Znaczenie obu jest ok. 10-krotnie mniejsze niż najważniejszych dla gospodarki transportu z logistyką i przemysłu. Oczywiście nie oznacza to, że turystykę należy lekceważyć. Tym bardziej że jej znaczenie w Polsce jest nieco wyższe niż chociażby w Czechach czy Wielkiej Brytanii (po ok. 2,5 proc. PKB). Średnia OECD jest jednak wyraźnie wyższa (4 proc.).

W państwach rozwiniętych przemysł wypoczynkowy nie jest wiodącą gałęzią gospodarki, jednak w najpopularniejszych wśród urlopowiczów państwach odgrywa znacznie większą rolę. W Portugalii wnosi do PKB 8 proc., w Grecji 7 proc., a w Hiszpanii 6 proc. Wśród państw OECD dosyć nieoczekiwanie na szczycie znajdują się Meksyk z Islandią, gdzie turystyka odpowiada za niemal 9 proc. PKB. Ten pierwszy kraj jest bardzo popularny wśród Amerykanów, którzy wypoczywają chociażby w słynnym kurorcie Acapulco nad Oceanem Spokojnym. Znakomity wynik Islandii jest zaś w dużej mierze efektem niewielkiej liczby ludności (ok. 400 tys. mieszkańców) – szczególnie na tle całkiem rozległych terenów przyciągających podróżnych. Jedynym państwem rozwiniętym, w którym turystyka zapewnia dwucyfrowy wkład w gospodar-

kę, jest nienależąca do OECD Chorwacja (10,5 proc. wartości dodanej w 2022 r. według Eurostatu).

Cudzoziemcy zostawiają nad Wisłą pieniądze, jednak działa to w dwie strony. Wraz ze wzrostem zamożności Polacy wydają za granicą coraz więcej, więc mimo rosnącej popularności Polski korzyści netto z podróży zagranicznych topnieją. Według OECD w 2024 r. goście z zagranicy wydali nad Wisłą 14,07 mld dol., jednak obywatele Polski zostawili w innych krajach 11,7 mld dol., zatem bilans wyniósł tylko 2,4 mld dol. na plusie. Przed pandemią ta nadwyżka podróżnicza wyniosła ponad 4,6 mld dol., chociaż wydatki obcokrajowców prawie się nie zmieniły (14,03 mld dol.). W tym czasie rachunki urlopowe Polaków poza krajem wzrosły jednak aż o jedną czwartą.

Państwa dysponujące znanymi kurortami mają nieporównywalny bilans. Grecja i Portugalia zanotowały ponad 20 mld dol. nadwyżki płynącej z podróży zagranicznych, Turcja niemal 50 mld dol., a Hiszpania aż 74 mld dol. Na wyjazdach międzynarodowych stosunkowo niewiele zyskała Francja (17 mld dol.), co jest rezultatem tego, że zamożni Francuzi sami bardzo chętnie wydają pieniądze poza krajem. Pod tym względem w Europie nieźrównani są jednak Niemcy, którzy za granicą zostawiają setki miliardów (117 mld dol. w 2024 r.), więc mają aż 77 mld dol. deficytu. Zdecydowanie najważniejszymi turystami zagranicznymi na globie są Amerykanie, którzy podczas wyjazdów międzynarodowych wydali 178 mld dol., chociaż dzięki popularności USA na świecie i tak wyszli na nich o 35 mld dol. do przodu.

Mało efektowne wyniki turystyki w Polsce na tle Europy Południowej to skutek specyfiki podróży zagranicznych nad Wisłą. Według GUS najpopularniejsze wśród obcokrajowców gminy to największe miasta – Warszawa (9 mln gości), Kraków (5,2 mln) i Gdańsk (3 mln). Spośród typowych miejscowości turystycznych najlepiej wypadło Świnoujście (2 mln cudzoziemców). Podróże zagraniczne do Polski siłą rzeczy są więc krótsze, gdyż do największych miast nie przyjeżdża się zwykle na cały turnus, tylko na weekend lub kilka dni, żeby zwiedzić to, co jest warte zobaczenia, i wrócić do siebie lub udać się w kolejne miejsce.

Trzeba zaznaczyć, że określenie „turysta zagraniczny” w statystyce publicznej (nie tylko polskiej) jest bardzo pojemne – obejmuje wszystkich podróżnych nierezydentów, którzy spędzą przynajmniej jedną noc w innym kraju niezależnie od głównego celu przyjazdu. Wśród tych 21,4 mln turystów zagranicznych aż 4,2 mln przyjechało nad Wisłę głównie w celach zawodowych, a kolejne 1,5 mln na zakupy. W celach typowo rekreacyjnych przybyło tylko 5,5 mln cudzoziemców, a kolejne 8,2 mln – w odwiedzin do krewnych lub znajomych. Włącznie z odwiedzającymi jednodniowymi, w celach czysto rekreacyjnych Polskę odwiedziło w 2025 r. ponad 9 mln

Odwiedzanie Polski nie jest już ekscentryzmem jak przemierzanie stepów Azji Środkowej na rowerze

obcokrajowców (wszystkich przekraczających granicę było 78 mln).

W rezultacie pod względem liczby noclegów udzielonych obcokrajowcom Polska odstaje od Europy Południowej zdecydowanie bardziej. Według Eurostatu w 2024 r. w hiszpańskich obiektach hotelowych zanotowano 322 mln noclegów cudzoziemców, we Włoszech 254 mln, a we Francji 141 mln. W Polsce było to niecałe 18,5 mln. W 2024 r. liczba turystów zagranicznych korzystających z regularnych placówek noclegowych wyniosła 13,5 mln, więc statystycznie jedna osoba wynajmowała zaledwie 1,5 doby hotelowej. W niewielkiej Chorwacji hotele i pensjonaty udzieliły obcokrajowcom aż 85 mln noclegów, w Portugalii 60 mln, a w Czechach 25 mln.

Polska należy wręcz do państw o zdecydowanie najniższej intensywności turystyki w Unii Europejskiej. Wskaźnik ten pokazuje liczbę noclegów w placówkach zakwaterowania (zarówno rezydentów, jak i obcokrajowców) w przeliczeniu na jednego mieszkańca. W Chorwacji na jednego obywatela przypadają 24 noce turystyczne, na Maltę 20, na Cyprze 18, w Grecji 14, a w Hiszpanii nieco ponad 10. W Polsce było to dokładnie 2,7 noclegu na mieszkańca, co było trzecim wynikiem od końca (przed Łotwą i Rumunią). Średnia unijna wyniosła niespełna siedem noclegów na dobę.

Klimat, topografia, nakłady

Słabość Polski wynika w większości z czynników obiektywnych, które trudno zniwelować w krótkim czasie. Oczywiście głównym problemem jest klimat, który nie sprzyja długim wyjazdom wakacyjnym. Bałtykowi trudno konkurować z Morzem Śródziemnym czy Adriatykiem. Większość regionów nie ma urozmaiconego krajobrazu – Polska jest krajem głównie nizinnym. Nasze góry nie należą zaś do najwyższych, nie licząc dosyć wąskich pasm Tatr i Karkonoszy. Potencjał ma Pojezierze Mazurskie, jednak leży ono w najchłodniejszym miejscu w kraju. Poza tym z powodów geopolitycznych turystyka na północnym wschodzie Polski ma w ostatnich latach pod stromą górkę.

Wynikiem regularnych zniszczeń wojennych, lecz także bardzo późnej urbanizacji, która na dużą skalę nastąpiła tak naprawdę dopiero w czasach PRL, jest stosunkowo niewielka liczba zabytków. Niedawno Polaków ucieszyła wiadomość, że na listę światowego dziedzictwa UNESCO zostało wpisane modernistyczne centrum Gdyni, jednak nadal liczba miejsc na tej liście nie jest oszałamiająca – 16 kulturowych i 2 przyrodnicze (Puszcza Białowieńska i lasy bieszczadzkie). Francja ma na liście UNESCO 54 obiekty (w tym 45 kulturowych), a Włochy aż 62.

Poza tym Polsce wciąż ciąży stan środowiska naturalnego. Pod względem za-

nieczyszczenia powietrza poczyniliśmy znaczny postęp, dzięki czemu w sezonie turystycznym smog jest raczej rzadkim zjawiskiem. Jeśli jednak chodzi o czystość zbiorników wodnych, to wypadamy fatalnie. Według Eurostatu w 2025 r. zaledwie 59 proc. obszarów polskich kąpielisk mogło się poszczycić doskonałą jakością wody. To przedostatnie miejsce w UE, przed Estonią (50 proc.). W Grecji to 97 proc., we Włoszech 90 proc., a w Chorwacji 86 proc. (średnia unijna wynosi 85 proc.).

To jednak nie oznacza, że Polska nie może się podciągnąć pod względem intensywności turystyki. Akurat w tym kontekście zmiany klimatyczne mogą być sprzyjające, gdyż temperatury nad Wisłą stają się znacznie bardziej przyjazne w porównaniu z ekstremalnymi upałami w Europie Południowej. Dzięki bardzo dobrej infrastrukturze poruszanie się po kraju jest bez porównania łatwiejsze i bardziej komfortowe niż jeszcze dwie dekady temu. W ostatnich latach metamorfozę przeszedł również transport zbiorowy, który w dużych miastach potrafi robić wrażenie już nie tylko na Amerykanach, lecz także na mieszkańcach Europy Zachodniej. Poprawiły się także punktualność, komfort podróży czy nawet liczba połączeń na najbardziej obleganych trasach.

Polskie miasta stały się czyste i schludne – według Eurostatu dwie trzecie mieszkańców Warszawy jest zadowolonych z poziomu czystości swojego miasta. W Paryżu i Berlinie to mniej niż połowa, w Atenach i Madrycie ponad jedna trzecia, a w Rzymie... co dziesiąty. Poza tym Polska przyciąga również bardzo wysokim poziomem bezpieczeństwa. W 2024 r. nad Wisłą zanotowano 249 kradzieży na 100 tys. mieszkańców. We Francji było to 1911, a we Włoszech 1552. W tym samym roku zgłoszono w Polsce 12 rozbojów na 100 tys., tymczasem w Portugalii 88, we Francji 83, a we Włoszech 50.

Oczywiście tradycyjnie jednym z największych polskich atutów jest bardzo dobra relacja cen do jakości usług i produktów. Dzięki płatności w złotych nawet mieszkańcy Słowacji może się poczuć nad Wisłą zamożniej niż w swoim kraju.

Wzrost znaczenia Polski na europejskiej mapie wypoczynkowej wymagałby jednak skoordynowanej polityki na poziomie kraju (obecnie zadania te wypełniają niemal wyłącznie samorządy). W 2024 r. z budżetu państwa przeznaczono na ten cel zaledwie 26,5 mln euro (115 mln zł), z czego 20,5 mln euro trafiło do Polskiej Organizacji Turystycznej, która zajmuje się promocją kraju za pomocą zawrotnej liczby... 16 przedstawicielstw zagranicznych. Tymczasem w Hiszpanii budżet na turystykę wyniósł 277 mln euro, czyli ponad 10 razy więcej. Oczywiście turystyka nigdy nie będzie choćby drugorzędnym obszarem zainteresowania polityki publicznej w Polsce, gdyż znacznie bardziej palących problemów i wyzwań jest bez liku. Przypomnijmy jednak, że 115 mln zł wynosił w swoim szczycie roczny budżet niesławnej Polskiej Fundacji Narodowej, której użyteczność społeczna była wręcz ujemna, więc turystyka zasługuje chyba na większą uwagę. ©

AUTOPROMOCJA



Szybko i wiarygodnie

Teraz INFORLEX z Asystentem AI ✨
dla księgowych, kadrowych, biur rachunkowych i JST

 Zadaj pytanie...



Nowość

INFORLEX Asystent AI ✨ gwarantuje:

- Szybkie, precyzyjne i praktyczne odpowiedzi
- Odpowiedzi oparte na wiarygodnych źródłach INFORLEX
- Wygodę korzystania bez skomplikowanych promptów



**Umów się
na bezpłatną
prezentację**

Świat

Twardy zawodnik

Niemal rok po konfrontacji z demonstrantami wydaje się, że prezydent Serbii się poddaje: ogłosił rezygnację ze stanowiska i przyspieszone wybory. Ale Aleksandar Vučić nie pozwoli się łatwo pokonać

Mariusz

Janik

Co złego, to nie ja – tę frazę, wygłaszającą kurtuazyjnie na pożegnanie, można by z powodzeniem odnieść do prezentu, jaki Aleksandar Vučić zafundował rodakom na odchodne. Po ogłoszeniu rezygnacji serbski prezydent oznajmił, że niemal każdy pełnoletni Serb dostanie do ręki trochę gotówki. – Wyплаты trafią do emerytów i tych, którzy mają prawo do zasiłków rentowych. Osobne zostaną skierowane do tych, którzy otrzymują zasiłki socjalne. I pracujemy nad wsparciem wszystkich dorosłych rodaków, czego nie będziemy w stanie dokonać bez wyłożenia z budżetu kwoty 150 mln euro – opowiadał Vučić na antenie stacji TV Prva.

Jak niemal wszystko, co mówi w ostatnich tygodniach prezydent, jest dosyć luźno zarysowaną ideą – bez harmonogramu czy jasnych zobowiązań. Można zakładać, że procedowanie nad wypłatą ogólnonarodowej premii zajmie parlamentowi nawet kilka miesięcy. Co oznacza, że uchwalenie – a na pewno wypłata – nastąpiłoby po jesiennych wyborach. Innymi słowy: głosujcie na nas, to dostaniecie. Albo jak to ujmie portal Balkan Insight: trwa kupowanie głosów.

Vučić wykonał też zaskakujący manewr w polityce zagranicznej. Z pierwszą w historii wizytą w Belgradzie pojawił się Wołodymyr Zełenski, próbując najwyraźniej zrobić wyłom w szpalerze mniej lub bardziej wiernych sojuszników Kremla. Teoretycznie Belgrad starał się nie mieszać do konfliktu rosyjsko-ukraińskiego: Vučić widywał się z Zełenskim na konferencjach międzynarodowych, wizytę w Serbii dwa lata temu złoży-

ła ukraińska pierwsza dama, a jednocześnie przez cały czas był w kontakcie z Moskwą. Antyrządowe protesty w Serbii Władimir Putin określił mianem kolorowej rewolucji, co w języku Kremla oznacza niezmiennie sponsorowany przez Zachód zamach stanu wymierzony w zaprzyjaźniony reżim.

Wizyta ukraińskiego prezydenta nie przyniosła przełomowych deklaracji, ale tym razem najprawdopodobniej była Vučićowi potrzebna – właśnie z powodów wyborczych. Jego twardy elektorat wie swoje: na wiecach i festiwalach hołubionych przez nacjonalistyczne zaplecze prezydenckiej Serbskiej Partii Postępowej (SNS) flagi Rosji powiewają równie często jak serbskie, a nierzadko można wypatrzyć też symbole rosyjskiej agresji na Ukrainę. Ale reszta społeczeństwa jakiegokolwiek nadzieje na przyszłość widzi w Unii Europejskiej, zatem Vučić stara się na przedwyborczym finiszu zapunktować też w Brukseli. Tym bardziej że tuż za miedzą rozpadł się – uchodzący za zabetonowany na dekady – system stworzony przez Viktora Orbána. Rozpad układu, którym przez 14 ostatnich lat obrośli Vučić i jego SNS, mógłby być równie gwałtowny jak na Węgrzech.

Dach, który spadł na rząd

Na pewno gwałtowna była katastrofa, która doprowadziła do kryzysu prezydentury Vučića: zadaszenie przed budynkiem dworca kolejowego w Nowym Sadzie spadło na przechodniów w kilka sekund, zabijając na miejscu 14 osób, a dwie kolejne zmarły w szpitalu. Do



wypadku doszło 1 listopada 2024 r., niemal w samym środku dnia.

Pierwsze podejście do rozliczenia winnych wykonano błyskawicznie: już w grudniu zarzuty usłyszeli menedżerowie konsorcjum, które wcześniej dworzec remontowało, oraz minister budownictwa Goran Vesić. Ale śledztwo i publiczne wyjaśnienia tylko gmatwały sytuację, obrzucano się wzajemnymi oskarżeniami, a przyczyn zawirowania się zadaszenia w zasadzie nie ustalono do dziś. Wykonawca remontu, chińska firma, odmówił dostępu do faktur i dokumentacji prac. Prawdopodobna wydaje się wersja, według której wzięto pieniądze za pracę, której nie wykonano – feralne zadaszenie miało pochodzić z 1964 r. i nikt go nie

próbował nawet modernizować. Wraz z narastającym oburzeniem ekipa Vučića przyjęła więc taktykę podrzucania opinii publicznej kolejnych potencjalnych kozłów ofiarnych – fotele stracili m.in. premier, minister handlu zagranicznego, burmistrz Nowego Sadu. Ale na tym w zasadzie koniec: w ostatnią Wigilię – ponad rok po wypadku – rozpatrujący zarzuty przeciw Vesićowi i innym oskarżonym sąd wyrokował, że nie zgromadzono przeciw nim wystarczających dowodów, by kogokolwiek skazać. Oskarżeni wrócili do domów.

Do domów od kilkunastu miesięcy nie chcą jednak wrócić uczestnicy protestów. W apogeum antyrządowego wzmożenia demonstranci wyszli na uli-



Antyrządowe protesty w Serbii odbywają się pod hasłem „Krvave su vam ruke” (Krew macie na rękach)

pojawilo się polecenie „Dzieci do szkoły” (uczniowie i studenci są kluczową grupą protestujących). Autor popełnił jednak błąd ortograficzny, myląc dwie litery serbskiej cyrylicy, które wyglądają podobnie, ale brzmią inaczej: „dj” (wymawiane jako „dź”) i „č”. Powstało „čaci u školu”, coś na kształt „cieci do szkoły”, mimowolna ilustracja niedouczenia oraz ignorancji nacjonalistów (charakterystyczna nie tylko dla tych serbskich). I poniosło się w internecie, że hej.

W rezultacie, gdy przed serbskim parlamentem wyrosło namiotowe miasteczko protestujących, rychło uzyskało miano Čacilandu. Obozowisko było świadkiem wielu dramatycznych scen: nachodziła je policja, napadały zbiry powiązane z władzą, nękały ekipy dziennikarzy z rządowych mediów (oberwało się lokalnym partnerom CNN ze stacji N1). Z drugiej strony w Čacilandzie organizowano głodówki krewnych ofiar katastrofy w Nowym Sadzie, koordynowano akcje antyrządowe, a co bardziej krewcy demonstranci snuli się po okolicy, szukając okazji do użycia pięści.

Taktyka poszukiwania i dostarczania kozłów ofiarnych czy mniej lub bardziej brutalnego dręczenia tych, którzy demonstrowali na ulicach, miała zapewne stopniowo wygasic emocje. Niezbyt się udało, przynajmniej w pierwszym roku po katastrofie: zeszłego lata Serbię ogarnęła fala zamieszek, z dymem szły lokalne siedziby SNS, budynki administracji państwowej czy służb mundurowych. – Bez żadnego powodu policja została w zmasowany i brutalny sposób zaatakowana. Doszło do wielu gwałtownych prób przerwania kordónów – dowodził w tamtych dniach minister spraw wewnętrznych Ivica Dačić. Do pacyfikowania zamieszek rzucano zarówno mundurową prewencję, jak i nieformalną formację pięściarską partii rządzącej – grupki stadionowych chuliganów. Apogium konfrontacji miało miejsce w lipcu i sierpniu, na jesieni zaczęło opadać, uczniowie najwyraźniej wrócili do klas.

Ale protest nie wygasł. Co więcej, demonstranci zaczęli coraz wyraźniej formować własną agendę polityczną: pojawiło się hasło „Uczniowie zwyciężą”, które jest parafrazą rządowego sloganu „Serbia zwycięża”. Opozycyjni deputowani do Skupsztiny, serbskiego parlamentu, również najwyraźniej czują, że teraz albo nigdy – energicznie zabiegają o uwagę i sympatię rodaków. W maju protestujący sformułowali własne memorandum w sprawie Kosowa, w którym połączono zarówno rutynową deklarację, że region ten jest „integralną i niepodzielną” częścią Serbii, jak i apel o rozwiązanie konfliktu kosowskiego w oparciu na prawie i insty-

tucjach międzynarodowych. I choć nie zawarto w tym stanowisku żadnej nowej koncepcji, to na kilka tygodni akcenty w dyskusji o sytuacji w kraju przesunęły się na Kosowo.

Wcześniej zakładano, że Vučić będzie chciał przetrwać do zaplanowanej na przyszły rok w Belgradzie wystawy EXPO – a zatem także do końca swojej drugiej kadencji. Wydarzenie to miało być zarazem demonstracją sukcesów władzy, podsumowaniem dekad prezydentury, a może i spektakularnym parawanem, za którym struktury SNS przygotowałyby swojemu liderowi jakiś komfortowy transfer kompetencji władzy, np. pomiędzy kancelariami prezydenta a premiera, co pozwoliłoby wykonać bezstratną rozsądę personalną. Być może okazało się jednak, że tego scenariusza nie da się zrealizować, ewentualnie Vučić postanowił ubiec adwersarzy, zanim się zmobilizują. – Będę prezydentem już tylko przez kilka tygodni, potem zrezygnuję – oświadczył na prorządowym wiecu w Belgradzie pod koniec czerwca. – A potem wygramy bardziej przekonująco niż kiedykolwiek wcześniej – dorzucił zawiadziako.

Wybory, które może się odbyć

Bywają deklaracje, z których trudno się potem politykom wycofać. Zapowiedź z czerwcowego wiecu zapewne do nich należy, choć po jej wygłoszeniu prezydent nabrał wody w usta, kwitując tylko, że wybory odbędą się „w ciągu trzech miesięcy”. Ale fala spekulacji, która po tym wezbrała, okazała się nie do zatrzymania. Vučić w końcu musiał się odnieść do swojej obietnicy konkretniej, sugerując, że na jesieni odbędą się wybory parlamentarne, a prezydenckie – w styczniu lub lutym przyszłego roku.

Jeszcze konkretniej zabrzmiał w ostatni weekend. – Tak czy inaczej, zobaczymy, jaka będzie decyzja Serbów. Stanie się to najprawdopodobniej w październiku lub na początku listopada – odpowiedział na pytania o kres prezydentury zadawane przez Mathiasa Döpfnera, prezesa koncernu Axel Springer, który obok menedżerskich obowiązków zajmuje się również prowadzeniem podcastu MD Meets. – Dziś ta druga strona, tzw. Uczniowska Lista, twierdzi, że ma większość. Wierzę im. Będziemy mieli bez wątpienia bardzo trudną kampanię wyborczą – podkreśla Vučić.

– Jeżeli oni zwyciężą, choćby jednym czy pół procenta, natychmiast uznaję ten fakt, potwierdzę i im pogratuluję. Ale nie usłyszałem tego jeszcze z ich strony – kwitował, torując drogę do kolejnych spekulacji. Bo z jednej strony deklaracja ta wydaje się w demokratycznych standardach oczywista, z drugiej – dla większości analityków Serbia pod rządami Vučića dosyć daleko odbiegła od standardów demokratycznych: opozycyjni politycy uczestniczący w demonstracjach byli pacyfikowani tak samo jak reszta tłumu, niewiele zostało w kraju mediów niezależnych od władzy,

struktury organizacji pozarządowych są najsłabsze od lat. A na dodatek SNS najwyraźniej wcale nie straciła poparcia – zwłaszcza na prowincji. Wybory lokalne, które odbyły się w kilku okręgach w listopadzie ubiegłego roku – prawda, że małych i rozrzuconych po rubieżach Serbii, gdzie nacjonalistyczne nastroje zawsze były silniejsze – potwierdziły, że SNS jest w stanie wygrać głosowanie, choć poparcie dla partii wyraźnie spadło, gdziekolwiek nawet o 30 proc.

Vučić niewątpliwie może liczyć na poparcie wielu środowisk. Fundamentem jego popularności jest elektorat SNS: nacjonaści i pogrobowcy miloszewiciowskiej Jugosławii, głównie z mniejszych ośrodków, Serbowie, którzy uciekli z Kosowa, emeryci i słabo opłacani robotnicy. Prezydent od lat chlubił się niegdyśszą przynależnością do stadionowych bojówek stołecznego klubu Crvena Zvezda – i na środowiska kibolskie wciąż może liczyć. Spekuluje się, że w jakimś stopniu, przez powiązania tego środowiska z półświatkiem przestępczym, w trakcie kampanii niektóre serbskie mafie mogą udzielić władzy wsparcia.

Murem staną też pewnie po stronie prezydenta media: ten rynek od kilkunastu lat jest podporządkowywany władzy – począwszy od nagradzania zaprzyjaźnionych redakcji reklamami państwowych firm przez wypłaszanie zagranicznych inwestorów, tabloidyzację poważnych niegdyś redakcji aż po przejmowanie wycięczonych kryzysem tytułów i stacji. „Za czasów Miloševicia dziennikarze ginęli, bywali porzymani czy aresztowani. Newsroomy karano finansowo. Ale nigdy nie było tak źle, jak obecnie” – podsumował swego czasu Balkan Insight.

Na tym pogorzeliśku medialnym prezydent budował swoje pomniki w stylu znanym z innych demokracji nieliberalnych. Sielskie ustawki z drugą żoną i przychodzącymi na świat dziećmi, przecinanie wstęg, tyrady wygłaszane pod adresem ministrów i prostych urzędników, otwieranie fabryk, informowanie o walce z korupcją czy – w ostatnich kilkunastu miesiącach – pomstowanie na demonstrantów stało się w przekazie medialnym codziennością, rzadko zestawianą z inną perspektywą.

Teoretycznie uskładałoby się tego tyle, że przegrana autokratycznego lidera powinna być przesądzona, zwłaszcza po kilkunastu latach rządów. Problem w tym, że uczniowski ruch protestu nie ma swojego Pétera Magyara, a sformułowane dotychczas postulaty odnoszą się przede wszystkim do wyjaśnienia okoliczności katastrofy z 2024 r., pociągnięcia winnych do odpowiedzialności, rozliczenia decydentów i funkcjonariuszy, którzy odpowiadają za dotychczasowe ataki na demonstrantów, dymisji związanych z represjami urzędników, oddalenia zarzutów wobec zatrzymanych protestujących. Do tego dorzucano do tej pory jeszcze wzrost budżetu na edukację (o 20 proc.) czy wspomnianą wyżej deklarację w sprawie Kosowa. Jak zatem widać, dosyć krótka to lista i w niczym nieodziewier- ➤

ce w 400 miastach i miasteczkach kraju, a w rocznicę katastrofy na ulicach było co najmniej 110 tys. osób. Miejskie mury zalane są graffiti protestujących – od „Gotov je” (co przywołuje wspomnienia z 2000 r. i obalenia Slobodana Miloševicia, który też był „Skończony”) przez „Krvave su vam ruke” („Macie krew na rękach”, co czasami ma postać wyłącznie czerwonego odciśnięcia dłoni) po popkulturowe aluzje do filmów, piosenek czy gier komputerowych.

Prawdopodobna próba skontrowania przez sympatyków rządu tej wizualnej kampanii stała się wiralowym pośmiewiskiem: na płocie przed wejściem do prestiżowego gimnazjum im. Jovana Jovanovicia Zmaja w Nowym Sadzie

ciędląca spektrum problemów, z jakimi borykają się dziś Serbowie.

Prezydent, który nie zostawi ojczyzny

Od 2,9 proc. do 3,6 proc. – taki wzrost gospodarczy prognozuje się w tym roku dla Serbii. Niby nienajgorzej, ale zajmujący się tamtejszą gospodarką eksperci przyznają, że bez przyszłorocznego EXPO wskaźnik ten sięgnąłby prawdopodobnie zaledwie 2 proc. A to oznacza jedno: de facto Serbię trawi marazm. Entuzjazm i ożywienie gospodarcze, jakie wywołał upadek dyktatury Miloševića oraz dekada po nim – kiedy wydawało się, że wydając trybunałowi w Hadze kolejnych oskarżonych o zbrodnie wojenne w byłej Jugosławii, uda się utorować drogę do UE – to odległa przeszłość, a po formacjach politycznych, które były wówczas u steru, nie został ślad.

Kraj wyniszczony sankcjami, bombardowaniami NATO u schyłku lat 90. i obojętnością inwestorów oraz Europy w kolejnym ćwierćwieczu niewiele się zmienił, wyjąwszy co bardziej prestiżowe fragmenty dużych miast. Co więcej, dręczą go nowe problemy – latem ogromne pożary, susza, niski stan rzek przekładający się na kłopoty elektrowni, do tego przestarzała infrastruktura, uzależnienie od paliw kopalnych. – Kolejnym wyzwaniem jest skrajny poziom politycznego konfliktu – tłumaczył niedawno serbski ekonomista Aleksandar Stevanović.

Ta mizéria jest najważniejszym atutem opozycji. W Ćacilandzie nie wyśiadali tylko studenci i uczniowie, którzy domagają się odejścia od autorytarnego kursu. Pojawiali się tam też emeryci, robotnicy, właściciele drobnych biznesów, głodówkę ogłaszał kierowca autobusu – to w poprzednich latach byli wyborcy SNS i Vučića. Sondaż, którego wyniki opublikował na początku sierpnia portal Savremena Politika, dawał przewagę respondentom, którzy uważają, że sprawy w kraju idą w złą stronę (49 proc.). Przeciwnego zdania było 41 proc., z 10-proc. grupą bez zdania na ten temat. Badanie de facto odzwierciedlało stosunek ankietowanych do rządu Vučića. Z kolei wysoki odsetek respondentów, którzy deklarują, że są zdecydowani wziąć udział w wyborach (68 proc.) plus tych, którzy prawdopodobnie zgłoszą (15 proc.), wskazuje, że frekwencja w potencjalnych jesiennych wyborach może być wyjątkowo wysoka.

Aleksandar Vučić nie traci rezerwy. Na jego profilach w mediach społecznościowych pojawiło się nagranie przedstawiające mężczyznę z nożem, który wygraża prezydentowi. Podobno nie pierwsze to takie pogroźki. – Nie boję się. Oczywiście, SNS może przegrać wybory. Ale nawet jeśli tak się stanie, nie zostawię mojego kraju – zapowiedział Vučić. I jak zwykle można to rozumieć na wiele sposobów. ©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

Coraz bardziej osobno

Kneset uchwalił ustawę, która umożliwia uczelniom tworzenie odrębnych programów studiów dla kobiet i dla mężczyzn. Segregacja płciowa w przestrzeni publicznej to w Izraelu coraz bardziej widoczny trend

Nina

Nowakowska

Bene Berak, niewielka gmina w pobliżu Tel Awiwu, jest jednym z najgęściej zaludnionych miast na świecie. Na powierzchni zaledwie 7 km kw. mieszka tam ponad 230 tys. osób, w większości ultraortodoksyjnych Żydów (charedim). Mieszkańcy regularnie przyciągają zainteresowanie mediów. Tak było również w lipcu, gdy miejscowe władze ogłosiły, że zgodnie z orzeczeniem lokalnych rabinów planują wprowadzić segregację płciową na dwóch głównych ulicach. Jak informował Kanał 13, chodniki przy najbardziej ruchliwych arteriach w mieście miały zostać przedzielone barierkami i znakami tak, aby kobiety i mężczyźni nie mogli się mijać. Gmina wydała oficjalny komunikat, w którym wezwała wszystkich do przestrzegania nowych wytycznych, podkreślając, że instrukcje rabinów są „bardzo jasne i nie wymagają dodatkowych wyjaśnień”. „Mieszkańcy posłuszni wielkim przywódcom Tory oraz ich słowom, zastosują się do ich prośby” – dodały.

Znaki skromności

Postulaty segregacji ze względu na płeć mają swoje źródło w pojęciu skromności (cniut), mającym duże znaczenie w judaizmie ortodoksyjnym. Odnosi się ono nie tylko do wyglądu, lecz także do zachowania, języka i relacji międzyludzkich, a w szczególności kontaktów damsko-męskich. Tradycjonałści postrzegają seksualność jako potężną siłę, wymagającą wyznaczenia granic i kontroli. Dlatego religijni Żydzi unikają kontaktu fizycznego z osobami przeciwnej płci, nawet przy powitaniu. W ortodoksyjnych synagogach kobiety modlą się w osobnych pomieszczeniach z boku sali głównej, na galerii lub na balkonie (nazywa się je babiniec). Stoi za tym założenie, że ich obecność rozpraszałaby mężczyzn. Podział obowiązuje również podczas świątecznych uroczystości i ślubów. Z tym właśnie się wiązał pomysł osobnych chodników w Bene Berak – przy głównych ulicach miasta

znajdują się sale weselne. Miejscowi rabini chcieli, żeby goście rozdzielali się już przed wejściem do lokalu.

Nie była to pierwsza próba wprowadzenia religijnego porządku w miejskiej przestrzeni. W 2017 r. izraelski Sąd Najwyższy nakazał władzom położonego 30 km od Jerozolimy miasta Bet Szemesz usunąć z ultraortodoksyjnej dzielnicy „znaki skromności”, które nakazywały kobietom i mężczyznom chodzenie po przeciwnych stronach ulic. W przypadku Bene Berak obyło się bez interwencji sądu – pod wpływem społecznego oburzenia złożona z samych mężczyzn rada miasta wycofała się z planów segregacji. Oznaczenia zostały szybko usunięte.

Jak zauważa Michał Wojnarowicz, analityk ds. Izraela i Palestyny w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, spór o chodnik w Bene Berak to jeden z wielu przejawów napięć między religijnymi a świeckimi Izraelczykami, które często uderzają w kobiety. – Rabini argumentują, że chodzi o zachowanie zasad skromności, wolności religijnej i tradycji – tłumaczy ekspert. Sprzeciw świeckich wzbudziła jeszcze inna kwestia. – Segregacja w miejskiej przestrzeni za pomocą oznaczeń drogowych i zmian w infrastrukturze miała być finansowana z publicznych pieniędzy – podkreśla Wojnarowicz.

Odrębne studia

Dlaczego sprawa chodników w Bene Berak rozpała debatę publiczną w Izraelu? Zdaniem komentatorów liberalna część społeczeństwa obawia się, że ultrakonserwatywne miasto mogłoby ustanowić precedens oraz dostarczyć paliwa skrajnej prawicy przed zaplanowanymi na październik wyborami parlamentarnymi. Moment, w którym gmina ogłosiła swój plan, nie był przypadkowy. W tym samym tygodniu Kneset przyjął ustawę rozszerzającą segregację płciową w szkolnictwie wyższym. Na mocy nowego prawa uczelnie mogą tworzyć oddzielne programy studiów magisterskich i doktoranckich dla kobiet i dla mężczyzn (nie tylko ze społeczności cha-



redim). Kneset odrzucił przy tym poprawki zgłoszone przez posła Josefa Taieba z religijnej partii Szas (Sefardyjskiej Partii Strażników Tory), który chciał wprowadzenia segregacji na całym kampusie.

Ustawa opiera się na wyroku Sądu Najwyższego z 2021 r., który usankcjonował możliwość oferowania studiów licencjackich z podziałem na płeć. Celem segregacji ma być zwiększenie dostępności szkolnictwa wyższego dla charedim, a w dalszej perspektywie – poprawa ich szans na rynku pracy. Yael Yechieli, izraelska aktywistka i założycielka Inicjatywy 5050, promującej równą reprezentację kobiet i mężczyzn w instytucjach publicznych, zwraca jednak uwagę, że nowe przepisy zawierają niejednoznaczne sformułowania. – Eksperci i uczelnie podnoszą, że mogą one z czasem zostać zinterpretowane tak, aby w praktyce rozszerzyć segregację – podkreśla Yechieli.

Limor Son Har-Melech, posłanka skrajnie prawicowej partii Ocma Jehudit (Żydowska Siła), przekonywała, że na nowym prawie skorzystają zwłaszcza ultraortodoksyjne kobiety, które „nie miały dotąd możliwości, na jakie zasługują”. Opozycja i środowiska akademickie uważają z kolei, że przepisy stawiają prawa religijne ponad prawami studentek i wykladowczyń do równego traktowania, godności i swobody przemieszczania się, a także zagrażają wolności akademickiej oraz jakości nauczania i badań naukowych.

– Uczelnie są przeciwne wprowadzaniu osobnych programów kształcenia. Ale jeśli ministerstwo edukacji zechce, to będzie mogło je do tego zmusić – tłumaczy Yael Yechieli. Zdaniem aktywistki rozdzielenie kobiet i mężczyzn nie sprawdzi się na studiach magisterskich i doktoranckich, na których grupy są dużo mniejsze, a studenci i wykładowcy bliżej ze sobą współpracują. – Czasem nie sposób zorganizować zajęć na danym kierunku tak, aby kobiety i mężczyźni mogli chodzić na nie osobno. Do tego dochodzi jeszcze kwestia prowadzących. W praktyce często kończy się tak, że wykładowcy uczą zarów-



Jesziwa Poniewież
w Bene Berak

FOT. MICHAEL GALLIN 1/SHUTTERSTOCK

no mężczyzn, jak i kobiety, a wykładowcy tylko te drugie – wyjaśnia Yechieli. Według niej ustawa nie osiągnie zamierzonego celu, co pokazują już doświadczenia z oddzielnymi programami kształcenia na szczeblu licencjackim. – Mamy dane, z których wynika, że na studia dostało się więcej ortodoksyjnych kobiet niż mężczyzn. Wielu tych ostatnich poległo z powodu braków na wcześniejszych etapach edukacji, np. dlatego, że w wieku licealnym nie uczyli się języka angielskiego i matematyki. Mimo że uniwersytety stworzyły osobne programy dla charedim, niewielu z nich skorzystało – tłumaczy aktywistka. Niedawno stowarzyszenie ultraortodoksyjnych kobiet złożyło skargę do Sądu Najwyższego, w której dowodzi, że ustawa nie nakłada na uczelnie obowiązku zapewnienia równych warunków kształcenia dla kobiet i dla mężczyzn, nie zapobiega rozszerzaniu się segregacji na biblioteki, korytarze, pokoje administracyjne i inne miejsca na kampusie, a także nie przewiduje zakazu wykluczania wykładowczyń z zajęć dla mężczyzn.

Granica została przekroczona

Michał Wojnarowicz podkreśla, że w postulatach wprowadzenia segregacji płciowej zderzają się dwa porządki: świecki i religijny. – Źródłem napięcia jest specyfika Izraela jako państwa żydowskiego, w którym judaizm i wartości demokratyczne w praktyce odgrywają równorzędną rolę – tłumaczy ekspert. – Z jednej strony w Izraelu są silne środowiska feministyczne, a równość płci stanowi ważny element tożsamości narodowej, o czym świadczą służba wojskowa kobiet. Z drugiej strony w izraelskiej polityce od dłuższego czasu obserwujemy dominację

radikalnie prawicowych sił. Wyrazem tego jest m.in. duże wsparcie, również finansowe, dla stanowiącej wpływowy elektorat społeczności ultraortodoksyjnej – twierdzi Wojnarowicz.

Przykłady segregacji płciowej w izraelskiej przestrzeni publicznej można mnożyć. Nie wszystkie są zgodne z prawem. – Nieformalny charakter ma choćby segregacja w autobusach. W ortodoksyjnych miejscowościach kobiety po prostu wiedzą, gdzie w środku pojazdu mają usiąść. Inny przykład to oddzielne plaże. Kilka lat temu rozważano też kwestię finansowania przez samorządy imprez kulturalnych z oddzielnymi strefami dla kobiet i dla mężczyzn – wylicza analityk PISM.

Yael Yechieli dodaje, że nieformalna segregacja istnieje też na wielu imprezach masowych. – W Jerozolimie, gdzie mieszkam, odbył się ostatnio wielki koncert w hali mogącej pomieścić ponad 6 tys. osób. Na scenie wystąpili sami mężczyźni, a ich widownia była głównie męska. Zwykle duże koncerty są dla mężczyzn, a małe dla kobiet – podkreśla aktywistka. Jej zdaniem podział ze względu na płeć to w Izraelu coraz bardziej widoczny trend. – Dwadzieścia lat temu nie było segregowanych imprez masowych, bo charedim nie chodzili na koncerty. Dziś chodzą, ale domagają się, by kobiety i mężczyźni siedzieli osobno. Wyjściem kompromisowym byłoby tworzenie trzech sekcji: męskiej, kobiecej i mieszanej. Charedim nie chcą się jednak na nie zgodzić, bo sekcja mieszana byłaby najliczniejsza, a to podważałoby sens tego rozwiązania – mówi Yechieli.

Zmiany w szkolnictwie wyższym były jednym z ustępstw na rzecz partii ultraortodoksyjnych w zamian za poparcie agendy legislacyjnej koalicji pod przewodnictwem premiera Benjamina Netanjahu. Oprócz dopuszczenia oddzielnych programów studiów Kneset uchwalił też przepisy zakazujące aresztowań ultraortodoksyjnych Żydów uchylających się od służby wojskowej oraz uznał studiowanie Tory za fundamentalną wartość państwa. Wywołuje to narastający niepokój w liberalnej części społeczeństwa. Izraelczycy, którzy wcześniej byli skłonni zaakceptować oddzielne studia licencjackie jako kompromisowe rozwiązanie, uważają dziś, że granica została przekroczona. – Obawiamy się, że jeśli zaczną się pojawiać segregowane programy akademickie, to za jakiś czas podobnie będą wyglądać zakłady pracy i inne sfery życia. Zamierzamy się temu przeciwstawić – zapowiada Yechieli.

Kobiety zajmują obecnie tylko 31 spośród 120 miejsc w Knesecie. Swoje reprezentacje parlamentarne mają dwie ultraortodoksyjne partie, w których są sami mężczyźni. W większości partii prawicowych kobiety stanowią 10–15 proc. członków, w opozycyjnych – 30–40 proc. – Po 7 października 2023 r. (dzień ataku Hamasu – red.) wielu Izraelczyków zaczęło zadawać sobie pytanie, dlaczego tak mało kobiet brało udział w podejmowaniu kluczowych decyzji. Myślę, że pojawiło się oczekiwanie, by odgrywały w nich większą rolę – mówi Yechieli. ©



Mniej Więcej

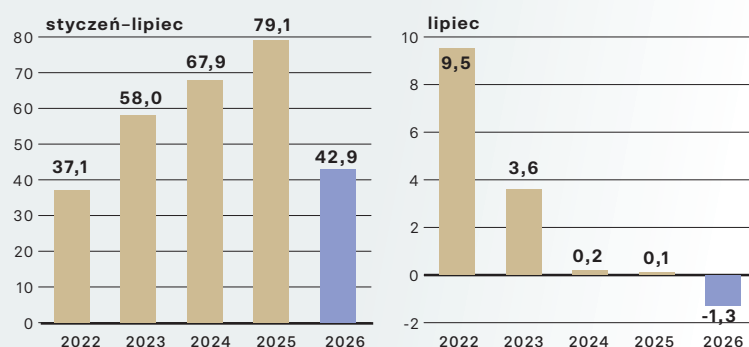
Łukasz

Wilkowicz

Odpoczynek od przedsiębiorczości

W statystykach podmiotów tworzących naszą gospodarkę, czyli w rejestrze REGON, tegoroczny lipiec na tle kilku poprzednich lat wyróżnił się spadkiem liczby działających firm. Według GUS w pierwszym miesiącu tegorocznych wakacji zarejestrowano 28,8 tys. nowych podmiotów i dokonano 16,3 tys. wykreśleń. Rejestracji było o ok. 200 więcej niż w lipcu ub.r., podobny był jednak wzrost liczby wykreśleń. W konsekwencji za spadek liczby firm odpowiadają zawieszenia działalności (lipiec zwykle przynosi wzrost ich liczby). Ten rok wypada słabiej, także jeśli weźmiemy pod uwagę pierwsze siedem miesięcy. Liczba działających podmiotów wzrosła, ale najmniej od 2022 r. ©

Przyrost liczby aktywnych działalności w rejestrze REGON*
(proc.)

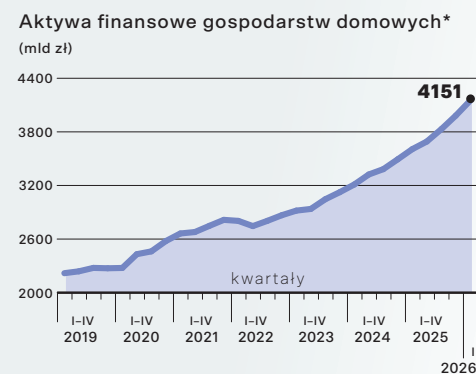


* rejestracje minus wykreślenia i przyrost liczby zawieszeń
Źródło: DGP na podstawie danych GUS

RM ©

4 bln zł aktywów. To wciąż mało

Wartość aktywów finansowych gospodarstw domowych przekroczyła w końcu marca (dane są publikowane z dużym opóźnieniem) 4 bln zł. Najwolniej – w tempie nieprzekraczającym 10 proc. w skali roku – rosły depozyty bankowe oraz „inne kwoty do otrzymania”, które w naszej statystyce obejmują głównie tę część naszych oszczędności emerytalnych, która przed ponad dekadą została przejęta przez ZUS z OFE. Najszybszy wzrost, rzędu 25 proc., dotyczył akcji i udziałów. 4 bln mogą robić wrażenie, ale w relacji do PKB wartość naszych aktywów finansowych należy do najniższych w Unii Europejskiej. ©



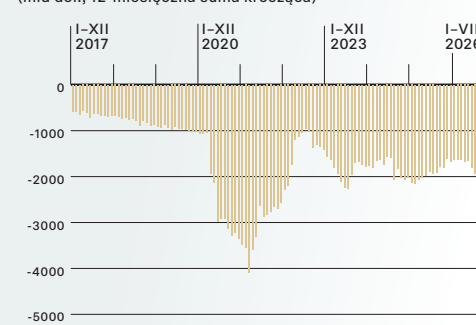
* i podmiotów działających na rzecz gospodarstw domowych
Źródło: Eurostat

RM ©

Amerykański problem z deficytem

Zbliżamy się do momentu, w którym poznamy projekt budżetu państwa na 2027 r. Należy się znów spodziewać dużego deficytu i powrotu dyskusji o jego ograniczaniu (co w roku wyborczym byłoby dość karkołomnym zadaniem). Na pocieszenie: wysoki deficyt to nie tylko nasz problem. Amerykański budżet federalny tylko w lipcu był na minusie ponad 400 mld dol. – to największa kwota od prawie pięciu i pół roku. Trzy największe pozycje wydatkowe wyglądają dość znajomo: zdrowie (174 mld dol. w samym lipcu), ubezpieczenia społeczne (141 mld dol.) i obsługa długu publicznego (104 mld dol.). ©

Saldo budżetu federalnego USA
(mld dol., 12-miesięczna suma krocząca)



Źródła: Federal Reserve Bank of St. Louis, U.S. Department of the Treasury

RM ©

Kultura

Nie da się zmusić ludzi do zmiany

Są tacy, którzy celowo nie jeżdżą na Malte w proteście przeciwko polowaniom. Dla nich strzelanie do migrujących ptaków niewiele się różni od sezonu na wieloryby na Wyspach Owczych

Michał

Potocki

Świtało, gdy Joe dolewał mi do kawy zambur, likier na bazie anyżu. Natalino w tym czasie rozpakowywał domowej roboty qagħaq tal-ghasel, okrągłe ciasteczka wypełnione czarną masą na miodzie. Siedzieliśmy w cieniu drzew na plastikowych krzesłach pod wiejską altaną Joego nieopodal Mġarru. Rozpościerał się stamtąd piękny widok na szeroką dolinę. Z oddali dochodziły odgłosy wabików, gwizdków skonstruowanych tak, by przywoływać konkretne gatunki ptaków.

Joe ma 70 lat i przed emeryturą pracował jako inżynier. Natalino Fenech jest o pokolenie młodszym ornitologiem i najlepszym fotografem ptaków na Malcie. Spotkaliśmy się, żeby porozmawiać o polowaniach. Natalino poluje z działki Joego z aparatem fotograficznym w ręku, dlatego panowie zwykle umawiają się o brzasku. Dawniej dwa razy do roku – wiosną i jesienią – tysiące Maltańczyków porzuciły rodziny, by strzelać do ptaków migrujących między Europą a Afryką, względnie łapać je w pułapki i zamykać w klatkach. Unia Europejska wymusiła ograniczenie tej praktyki, ale myśliwi wciąż stanowią na tyle wpływowe lobby, że część zakazów pozostała na papierze, a na naruszanie innych służby często patrzą przez palce.

Nawet się nie żenili

Joe już nie strzela do ptaków. Częściowo dlatego, że sam dostrzega znaczny spadek ich liczby.

– Właściwie zawsze tak mówiono. Mój wujek, rocznik 1931, opowiadał,

że kiedy był dzieckiem, ludzie starsi od niego o 50 lat patrzyli w niebo pod koniec okresu migracji i mówili, że to już nie to, co kiedyś. Ale prawda jest taka, że spadek populacji ptaków migrujących przyspieszył w ciągu ostatnich 20 lat. Pamiętam taki sezon w latach 60., który do dzisiaj wspomina się jako tać-ċpar, mglisty. Turkawki błędziły w tej mgle i wpadały w pułapki; jednego dnia można było schwycić ich nawet 30. Dziś zobaczenie pięciu to wydarzenie – opowiada.

Natalino uważa, że spadek liczby ptaków ma dwie przyczyny. Pierwsza to znacznie większe niż dawniej zaludnienie w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Więcej ludzi to więcej myśliwych. Druga to zmiana klimatu. Pewnym gatunkom, które zwykły zimować w Afryce, teraz wystarcza Andaluzja.

Mężczyźni podkręcają tempo dyskusji. Zaczynają się wspominki i anegdoty o co dziwniejszych znajomych zakażonych wirusem polowań. O braniu nadgodzin, by na sezon mieć więcej urlopu, o fikcyjnych zwolnieniach lekarskich. O niejakim Fredu z Mosty, który przed ślubem oświadczył żonie, że między czerwcem a sierpniem jeździ z nią, gdzie będzie chciała, ale od września do maja ma mu dać spokój, bo to okres polowań. O innym znajomym, idącym przez życie ścieżką bezrobocia i dorywczych prac pozwalających zarobić akurat tyle, by przetrwać, który tylko raz zatrudnił się na etacie – w pralni. Była wojna i jedyną opcją zdobycia klatek dla ptaków była ich kradzież z zakładu pracy.

– Młodzi mężczyźni czasem celowo się nie żenili, by nikt im nie gderał, gdy chcą iść na polowanie – słyszę.

Żywy ptak wabik trzymany w klatce przez myśliwych z maltańskiej wyspy Gozo



Dronami w myśliwych

Język maltański zna 58 przysłów o ptakach. Życie myśliwych przez wieki organizował kalendarz migracji ptaków. Jesienią strzelało się do tych odlatujących do ciepłych krajów, wiosną – do wracających do Europy. Zimą polowano na gatunki spędzające ten czas na wyspach, latem ofiarami padały też króliki, symbol miejscowej kuchni. To dla myśliwych w sezonie w niektórych parafiach pierwszą niedzielą mszę odprawiano za kwadrans trzecia w nocy. Zdobycz trafiała do garnków. Mniejsze ptaki zostawały w rodzinie myśliwego, większe zawożono na targ. Te śpiewające trzymane w klatkach jako zwierzęta domowe – w legendach zachowała się opowieść o ptaku odżywającym się ludzkim głosem.

Joe uważa, że to były lepsze, dżentelmeńskie czasy. Wabiki robiono ręcznie. Teraz ludzie przywołują ptaki smartfonami i wygrywa ten z mocniejszym głośnikiem. To już nie sport – dowodzi – raczej jak bieganie na doping. Dodatkowo myśliwi i łowcy sami znaleźli się pod ostrzałem ekologów i zewnętrznego świata, czują się zamknięci w obłożonej twierdzy. W środowisku turystów-plecakowców są tacy, którzy celowo nie jeżdżą na Maltę w proteście przeciwko polowaniom. Dla nich strzelanie do migrujących ptaków niewiele się różni od sezonu na wieloryby na Wyspach Owczych. Krew

wielorybów na zdjęciach robi jednak większe wrażenie niż spadające na ziemię kaczki, więc media chętniej oburzają się na Farerów.

Proptasi aktywiści skupieni są w organizacji BirdLife Malta. W sezonie organizują lotne patrole. Jeżdżą o świcie po odludziach i szukają myśliwych, którzy łamią zasady polowań. Wiedzą, gdzie ich znaleźć. Idą z duchem czasu i korzystają z dronów FPV – takich samych, jakie służą na ukraińskim froncie. Fenech nie jest entuzjastą działań BirdLife; on stawia na perswazję, bo – jak tłumaczy – przesadna presja może sprawić, że naruszający prawo myśliwi zejdą do podziemia. Opowiada, że odkąd pojawiły się lotne patrole, łowcy chętniej schodzą na klify, a tam trudniej ich znaleźć.

– Ludziom trzeba dać szansę na zmianę, nie da się do niej zmusić. Większość odnawia licencje tylko po to, żeby raz czy dwa razy do roku pójść na polowanie. Skala też ma znaczenie – przekonuje.

50 taksydermistów

Natalino wywodzi się z rodziny myśliwych.

– Moim dziecięcym marzeniem było polować i założyć farmę, na której trzymałbym schwytaną zdobycz. Ale czytałem też gazety, a w latach 70. przetoczyła się przez nie gorąca dyskusja na temat polowań. Poszliśmy kiedyś z wujkiem na łowy pod Xemxiję, gdzie teraz jest rezerwat. W siatkę złapał się bekas. Ktoś mi go przyniósł i zachęcał, żebym go oswobodził. Zacząłem krzyczeć: „Nie! Nie wypuszczajmy go, bo ktoś go zastrzeli!”. Przekonali mnie jednak, bekas odleciał, a po chwili rozległy się strzały.



FOT. ANDREW HASSON/CAMERAPRESS/FORUM

są być rejestrowane. W 1990 r. licencję myśliwską miał co 10. mężczyzna, a w dwóch wschodniogotyjskich gminach, Nadurze i Qali, odsetek ten osiągał 47 proc. męskiej populacji. W 1992 r. Fenech szacował, że rocznie nad Maltą giną 3 mln zwierząt, a wykorzystuje się w tym celu 230 t zatrującego glebę ołowianego śrutu.

Reguły swoje, życie swoje

Gdy prawicowy rząd zaczął negocjować z UE warunki członkostwa, okazało się, że myśliwska wolnoamerykanka jest z nimi nie do pogodzenia. Problem polegał na tym, że kilka procent polującej populacji stanowiło jęczyczek u wagi, który mógł zdecydować o wyniku referendum akcesyjnego. Z taką siłą każdy rząd by się liczył. Przed wieloma laty późniejszy prezydent Anton Buttigieg powiedział, że „nie zaryzykuje własnej przyszłości w polityce dla paru ptaków”.

– Boże broń, gdyby kwestia polowań miała storpedować nasze aspiracje akcesyjne! – stawia sprawę jasno Beppe Fenech Adami (wpływowy polityk prawicy – red.). – Partia Nacjonalistyczna nie dąży do wyeliminowania polowań. Jesteśmy ich zwolennikami, ale powinny zostać uregulowane. Jestem pewien, że większość myśliwych przestrzega zasad – dodaje.

Malta jako nowe państwo członkowskie musiała wdrożyć obowiązującą we Wspólnocie od 1979 r. tzw. dyrektywę ptasią, nakładającą obowiązek dbania o populację awifauny. Dyrektywa stanowiła poważny problem podczas rokowań. Wymuszono zakaz łapania ptaków w siatki, Bruksela musiała się jednak zgodzić na wyłączenie Malty z niektórych zapisów. Zaakceptowano m.in. samo istnienie wiosennego sezonu polowań, choć z rygorystycznymi zastrzeżeniami.

Valletta w dużej mierze ignorowała zasady, co w 2009 r. skończyło się negatywnym orzeczeniem Trybunału Sprawiedliwości UE. Podobnie jak w wielu innych przypadkach realne zmiany wymusił trzeci sektor. Wokół BirdLife Malta powstała koalicja, która zainicjowała referendum w sprawie zakazu wiosennych polowań. Ani Partia Pracy, ani Partia Nacjonalistyczna nie poparły tej inicjatywy. Myśliwi próbowali zablokować plebiscyt, doszli aż do Sądu Konstytucyjnego. Temperaturę sporów obrazuje liczba podpisów pod obydwoma petycjami: ekolodzy zebrali ich 45 tys., myśliwi – 104 tys. Co trzeci dorosły Maltańczyk poparł którąś z nich.

Referendum odbyło się w 2015 r. Ku niezadowoleniu ekologów o włos wygrała opcja zwolenników wiosennego strzelania. Myśliwi dowodzili, że to element narodowej tradycji, na którą zasadzają się nieznające tej kultury międzynarodowe organizacje w rodzaju Greenpeace. Trzy dni później premier Joseph Muscat ogłosił otwarcie sezonu, ale ostrzegł, że to ostatnia szansa i jeśli myśliwi

nie zaczną stosować się do unijnych regulacji, kolejnej nie dostaną. Muscat – trzeba mu to oddać – starał się walczyć z największymi patologiami związanymi z tym procederem. Za łamanie zasad dwukrotnie kończył sezon przedwcześnie.

Reguły zaś są precyzyjne. Wiosną można strzelać tylko do turkawek i przepiórek, każde upolowane zwierzę należy zgłosić, a w skali kraju myśliwi muszą trzymać się ustalonych limitów. Aktywiści BirdLife podejrzewają, że obowiązują one tylko na papierze. Fenech twierdzi, że oficjalne statystyki wyglądają podejrzanie: w pierwszych dniach wiosennego sezonu liczby rosną powoli, po czym wzrost przyspiesza wraz ze zbliżaniem się jego końca, gdy łowcy już wiedzą, że zmieszczą się w limicie. BirdLife podaje, że w trakcie jesiennego sezonu w 2025 r. policja udokumentowała 49 przypadków postrzelenia ptaków objętych ochroną.

Mentalność Rambo

– Tacy ludzie to obsesjonaci. Jeśli jesteś gotów o piątą rano zakraść się do rezerwatu, żeby odstrzelić uszatkę, której brakuje ci do kolekcji, i nie przeszkadza ci ryzyko złapania przez policję, paru tysięcy euro kary ani dożywotniej utraty licencji, to znaczy, że jesteś uzależniony. Pewien znajomy, który zwykł polować na myszology w rezerwacie Buskett, powiedział, że choćby wprowadzono za to karę śmierci, i tak raz do roku by się na nie wyprawiał. To obsesja – mówi Natalino Fenech, wspominając też o „mentalności Rambo”.

Pisarz Trevor Żahra nie jest aż tak stanowczy:

– Nie znoszę polowań. Nienawidzę zabijania dla przyjemności. Z drugiej strony ludziom, którzy wychowywali się na nich, trudno z dnia na dzień

Michał Potocki

„Malta. Święci i diabły”,
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2026



powiedzieć, że więcej tego nie zrobią. Kiedy byłem dzieckiem, zbieraliśmy narcyzy na Boże Narodzenie. Wypełnialiśmy nimi wazon w całym domu. One pięknie pachną i ten zapach zapowiadał nadchodzące święta. Jeszcze po ślubie chodziłem w dolinę po narcyzy. Teraz to nielegalne i już tego nie robię, ale wciąż mi tego brakuje, bo skojarzenie narcyzów ze świętami utkwiło we mnie głęboko. Dlatego rozumiem myśliwych, dla których to część dzieciństwa. Polowania trzeba kontrolować, a mam wrażenie, że władze przysmakują na to oko. Ale nie udawajmy, że nie są one częścią tożsamości wielu z nas. ©©

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji

Artykuł jest fragmentem rozdziału

„Ptaki” z wydanej właśnie nakładem

Wydawnictwa Czarne książki naszego autora

pt. „Malta. Święci i diabły”



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

KOMUNIKAT

ZARZĄD POWIATU TRZEBNICKIEGO

ogłasza

II przetarg ustny nieograniczony

na sprzedaż nieruchomości stanowiących własność Powiatu Trzebnickiego, położonych w miejscowości Rościslawice, gmina Oborniki Śląskie.

Przedmiot przetargu:

Nieruchomości gruntowe niezabudowane, obejmujące działki:

- nr 363/9 o pow. 1,5615 ha – cena wywoławcza: 380 500,00 zł
- nr 363/10 o pow. 3,1981 ha – cena wywoławcza: 681 300,00 zł
- nr 363/11 o pow. 6,2908 ha – cena wywoławcza: 1 397 600,00 zł
- nr 363/13 o pow. 1,4200 ha – cena wywoławcza: 225 200,00 zł
- nr 363/14 o pow. 14,6306 ha – cena wywoławcza: 2 226 000,00 zł

Dla nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta nr WR1W/00055433/4. Nieruchomości przeznaczone są w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego pod tereny usług rekreacji i turystyki, położone w obszarze chronionego krajobrazu oraz w strefie ochrony konserwatorskiej. Nieruchomości wpisane są do rejestru zabytków. Dostęp do drogi publicznej zapewniony bezpośrednio lub poprzez ustanowienie służebności

Termin i miejsce przetargu:

14 października 2026 r., godz. 10:00, Starostwo Powiatowe w Trzebnicy, ul. Leśna 1, sala konferencyjna.

Wadium (dla poszczególnych działek):

- 363/9 – 38 050,00 zł
- 363/10 – 68 130,00 zł
- 363/11 – 139 760,00 zł
- 363/13 – 22 520,00 zł
- 363/14 – 222 600,00 zł

Wadium należy wnieść w terminie do dnia 7 października 2026 r.

Do ceny uzyskanej w przetargu doliczony zostanie podatek VAT (23%).

Każda działka stanowi odrębny przedmiot przetargu.

Szczegółowe informacje dotyczące przetargu oraz pełna treść ogłoszenia dostępne są w Starostwie Powiatowym w Trzebnicy oraz na stronie internetowej BIP Powiatu Trzebnickiego <http://www.bip.powiat.trzebnica.pl/>.

Zarząd Powiatu Trzebnickiego zastrzega sobie prawo odwołania przetargu z uzasadnionej przyczyny.

Historia

Bohaterom cześć, potomnym refleksja

Sprawiedliwie uznać zasługi przodków,
bez względu na polityczne afiliacje,
ale przede wszystkim dołożyć starań,
by nie zaprzepaścić chwilowych sukcesów
i dobrych koniunktur – to powinno być nasze
motto na 15 sierpnia

Witold

Sokała

Święto Sił Zbrojnych RP, znane też jako Święto Wojska Polskiego (a pierwotnie, czyli od ustanowienia w 1923 r., jako Święto Żołnierza), obchodzimy 15 sierpnia na pamiątkę bitwy warszawskiej – wielkiego starcia na wschodnich przedpolach stolicy. W trakcie bitwy polskie dywizje nie tylko powstrzymały rozpędzoną ofensywę bolszewicką, lecz także wyszły na skrzydło i tyły zgrupowania Michaiła Tuchaczewskiego, zmuszając je do odwrotu, który momentami przemieniał się w paniczną ucieczkę. Lord Edgar Vincent D'Abernon, brytyjski dyplomata i pisarz, raczył nawet uznać tę bitwę za jedną z kilkunastu najważniejszych w historii, decydujących o losach świata.

Datę przyjęto bardzo umownie – od dnia, w którym pierwsze pododdziały rozpoczęły tzw. manewr znad Wieprza. Walki na podejściach do stolicy trwały wtedy już od dobrych kilku dni, a przeciągnęły się o grubo ponad tydzień. Tak czy inaczej cała ta operacja stanowiła strategiczny przełom w wojnie toczącej się od pierwszych miesięcy roku 1919. Wkrótce rozprawiono się też z wykonującym dalekie oskrzydlenie Warszawy od północy Korpusem Kawaleryjskim Gaj-Chana. Jeszcze potem była ważna bitwa pod Komarowem, w rejonie Zamościa, w której solidnie przetrzepano skórę nadchodzącej z południa sławnej Armii Konnej Siemiona Budionnego. Następnie na wszystkich odcinkach frontu nastąpiła ofensywa sięgająca daleko na wschód.

Komunistyczne poprawianie historii

Sierpniowe święto obchodzono hucznie w II RP, a także w Polskich Siłach Zbrojnych podczas II wojny światowej. Czczono przy tym nie tylko samą wiktoryę z 1920 r., lecz także wszystkie wcześniejsze osiągnięcia naszego oręża. Ba, na początku – niejako z rozpędu albo dla zamydlenia oczu – podtrzymano tradycję nawet w „ludowym” Wojsku Polskim. Dopiero w 1947 r. komunistyczne władze poczuły się na tyle silne, by uderzyć w powszechnie akceptowany symbol, więc przesunięto wojskowe święto na rocznicę bitwy pod Lenino.

Przy okazji symbolicznie zdegradowano lub wręcz unieważniono prawie wszystko to, co było wcześniej. Najjaśniejszym światłem miało świecić polsko-radzieckie braterstwo broni zapoczątkowane atakiem dywizji gen. Zygmunta Berlinga przez bagniste rozlewisko Mierei (skądinąd źle przygotowanym, kiepsko wykonanym, a operacyjnie i strategicznie zupełnie nieistotnym). Kircholmy i Wiednie stały się mniej ważne. Grunwald jako słowo

Polska artyleria
na przedpolach Warszawy
w czasie wojny
polsko-bolszewickiej, 1920 r.



FOT. KRZYSZTOF CHOUNACKI COLLECTION/EAST NEWS

WOJNA

wiański triumf nad Niemcami ładnie się wpisał w ideologię i bieżące potrzeby polityczne. Podobnie jak Kościuszko, legiony Dąbrowskiego i XIX-wieczne boje powstańcze – z uwagi na trochę sztucznie pompowany aspekt „postępu społecznego”.

Natomiast największe sukcesy w walce ze wschodnim sąsiadem, takie jak XVII-wieczny Kłuszyn czy właśnie wojna z bolszewikami i sama bitwa warszawska – zostały niemal całkowicie wygumkowane z kart historii. Zabrano im miejsce w szkolnych podręcznikach, a wydawane w PRL pamiętniki z epoki, zwłaszcza osób wojskowych, miały w środku ziejącą dziurę. Tak kapitalni autorzy jak Jerzy Kirchmayer, Marian Romeyko czy Józef Kuropieska mieli jakieś wspomnienia z lat I wojny światowej, a potem nagle – bęc! – służyli już w czasach pokoju w wojsku II RP (do której mieli oczywiście stosunek krytyczny, co redaktorzy starannie podkreślali).

Owszem, w PRL-owskiej wersji historii lata 1918–1920 miały swoich bohaterów. Byli nimi ówczesni działacze komunistyczni: Julian Marchlewski i jego towarzysze, którzy postępując za wojskami Tuchaczewskiego, szykowali się do powołania rządu podporządkowanego sowieckiej Rosji, czy polskojęzyczni żołnierze Armii Czerwonej z tamtych lat, np. Karol Świerczewski. W życiorysie marszałka Michała Roli-Żymierskiego, dowódcy konspiracyjnej Armii Ludowej, a później komunistycznego dygnitarza, dyskretnie pomijano natomiast parę niewygodnych faktów. Na przykład to, że w krytycznych dniach sierpnia 1920 r. dowodził pod Zamościem elitarną 2 Dywizją Piechoty Legionów. Podobnie było z Berlingiem, wyróżniającym się oficerem tej jednostki podczas wojny z bolszewikami.

Endecy kontra Piłsudski

W podziemnym obiegu wydano „Rok 1920” Józefa Piłsudskiego i parę opracowań historycznych, ale ich zasięg był niewielki. Trudno się więc dziwić, że w okresie III RP społeczeństwo polskie wkroczyło z nikłą wiedzą na temat wojny z sowiecką Rosją i samej bitwy warszawskiej, za to z wieloma zakorzenionymi mitami.

Już w II RP przebieg tamtego konfliktu był bowiem przedmiotem politycznych manipulacji, w pewnym uproszczeniu – narzędziem walki pomiędzy obozem piłsudczyńskim a endecją. Elementem propagandowej rozgrywki było samo nazywanie batalii „cudem nad Wisłą” i eksponowanie rzekomej pomocy czynnika nadprzyrodzonego, czemu sprzyjała zbieżność dat (15 sierpnia to katolickie święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny).

Innym elementem tej samej gry były pogłoski, jakoby w krytycznym momencie Naczelną Wódz doznał załamania nerwowego, porzucił stanowisko i ukrył się u kochanki. Na przełomie lipca i sierpnia Piłsudski faktycznie był w marnej formie i nastroju, ale potem się otrząsnął i przystąpił do akcji. Owszem, tuż przed rozpoczęciem operacji

podpisał i złożył na ręce premiera Wincentego Witosa rezygnację z funkcji Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, ale był to akt przemyślany i odpowiedzialny, mający ułatwić funkcjonowanie najwyższych władz na wypadek porażki wojskowej. Zgodnie z dżentelmeńską umową Witos nie wykorzystał pochopnie dokumentu, lecz dyskretnie zwrócił go potem Piłsudskiemu.

Ten wyjechał tymczasem z Warszawy, ale nie uciekał. Przeciwnie, udał się pod Dęblin, by być bezpośrednio przy oddziałach wykonujących najtrudniejsze i najbardziej ryzykowne zadanie. Nadłożył przy tym sporo drogi, aby zobaczyć się z przebywającymi w Małopolsce żoną i dziećmi i zapewne pożegnać się z nimi na wszelki wypadek. Z tej błyskawicznej wizyty trudno czynić mu zarzut, ale jak się okazało, dało się po odpowiednim przeinaczeniu faktów. Manipulacje i oszczerstwa służyły dyskredytowaniu Piłsudskiego i przykryciu innych, niewygodnych dla ówczesnej prawicy zdarzeń. Przede wszystkim wyjazdu z Warszawy Romana Dmowskiego, który wycofał się z Rady Obrony Państwa i udał się do bezpiecznego Poznania, wedle niektórych świadectw nie tylko po to, by mobilizować siły na głębokim zapleczu, lecz także w celu organizowania separatystycznego „rządu wielkopolskiego”. Gdyby Piłsudski rzeczywiście przegrał bój o Warszawę, mogło się to okazać aktem pragmatycznego patriotyzmu, ale wygrał, a Dmowski wyszedł na tchórza, żeby nie powiedzieć mocniej.

Czyj był sukces?

Elementem tej rozgrywki były też pojawiające się po dziś dzień kontrowersje co do rzeczywistego „ojcostwa” niewątpliwego sukcesu. Niektórzy już w dwudziestolecie widzieli w tej roli międzysojuszniczą misję wojskową z udziałem gen. Maxime’a Weyganda. Tymczasem – z tego, co dzisiaj wiemy – francuscy oficerowie faktycznie konsultowali z polskimi sztabowcami plany działań, zgłaszali swoje uwagi (notabene proponując manewr ze skrzydła, ale znacznie płytszy i bardziej kunktatorski niż ten wykonany ostatecznie w polu), nie mieli jednak żadnej siły sprawczej.

Dlatego wojskowi i polityczni przeciwnicy Piłsudskiego skupili się szybko na innej narracji, w której kluczową postacią stawał się gen. Tadeusz Rozwadowski, wówczas szef Sztabu Generalnego WP. Bez wątplenia był świetnie wykształcony wojskowo (w przeciwieństwie do Piłsudskiego), przerastał też swego zwierzchnika doświadczeniem sztabowo-operacyjnym i praktyką dowódczą na wysokich szczeblach. Jego legendę wzmocniły późniejsze wydarzenia: dowodzenie wojskami wiernymi rządowi podczas zamachu majowego, aresztowanie przez piłsudczyków, a wkrótce potem tajemnicza śmierć, być może w wyniku otrucia. To znakomicie wpisywało się w scenariusz, wedle którego to Rozwadowski wymyślił i zorganizował decydującą operację, a Piłsudski tylko mu przeszkadzał swoim wtrącaniem się w fachową robotę. Po czym, zazdrosny o wojenną sławę, celowo zlikwidował prawdziwego bohatera.

Jeśli jednak ma się elementarne pojęcie o sztuce wojennej, sprawa jest dosyć jasna. Piłsudski był Naczelnym Wodzem, więc to on podejmował ostateczne decyzje oraz brał na siebie związane z nimi ryzyko i odpowiedzialność. I to zapewnia mu pierwszoplanowe miejsce w tej historii. Bez względu na to, czy oceniamy inne jego zachowania, wcześniejsze i późniejsze, dobrze czy źle. I bez względu na to, kto i w jakim stopniu był autorem zarysu planu, a także jego poszczególnych elementów. To bowiem zawsze jest praca zbiorowa, efekt komunikacji pomiędzy grupą ludzi, w tym wodzem i jego sztabowcami, a także dowódcami związków operacyjnych i niekiedy nawet taktycznych. Ten plan rodził się i dojrzewał w tym gronie w pierwszych dniach sierpnia, a konsekwencją niezwykle śmiałej i niewątpliwie ryzykownej decyzji Piłsudskiego było rozpisanie ogólnego zamiaru na tysiące szczegółowych rozkazów. I to newralgiczne, trudne zadanie znakomicie i na czas wykonał właśnie Rozwadowski wraz ze stosunkowo szczupłym zespołem oficerów sztabowych. To dzięki ich sprawności i profesjonalizmowi skomplikowana maszyna wielkich jednostek frontowych i całego zaplecza logistycznego zadziałała bezbłędnie, choć w takich przypadkach różnie bywa. Nawet genialne plany rozbijają się często o błędy i zaniedbania na tym etapie.

Fachowość i technika

Współautorami polskiego sukcesu byli też... oficerowie bolszewicy. Tuchaczewskiemu, bez wątplenia dowódcy zdolnemu i śmiałemu, ale jednak jeszcze pięć lat wcześniej skromnemu porucznikowi carskiej gwardii, a potem przez długi czas pensjonariuszowi niemieckiego obozu jenieckiego, zabrakło w tej operacji doświadczenia na tak wysokim szczeblu i chyba zimnej krwi. Zwiedziony wcześniejszymi sukcesami zapędził się za daleko i wystawił na kontrę odsłonięte skrzydło. W sztabach zabrakło zdolnych do skorygowania błędów wodza profesjonalistów, bo tylko nieliczni oficerowie z dawnej armii carskiej znaleźli tam swoje miejsce, a tych, którzy postanowili służyć nowemu reżimowi, traktowano dość nieufnie. Niekompetencja i polityczne rozgrywki w łonie bolszewickiego kierownictwa spowodowały z kolei, że Budionny nie zdążył na czas z pomocą. Mieliśmy więc, poza wszystkim, po prostu sporo wojennego szczęścia.

Mieliśmy także przewagę wywiadową. Głównie dzięki genialnemu porucznikowi Janowi Kowalewskiemu, dawnemu oficerowi carskich wojsk łączności (a potem pułkownikowi dyplomowanemu i jednej z najciekawszych postaci ze styku świata wywiadu i polityki). To on zorganizował i poprowadził jednostkę, która sprawnie rozszyfrowywała depesze przeciwnika. Zyskałszy też możliwości dezinformowania dowódców drugiej strony, co w krytycznym okresie zwiększyło chaos w szeregach bolszewickich.

Co mniej znane, mieliśmy też wtedy armię przeważającą technicznie. Dzięki przybyciu rok wcześniej z Francji wyposażonej w ok. 120 czołgów „Błękitnej Armii” byliśmy czwartą potęgą pancerną świata. A czołgi istotnie wzmacniały morale piechoty, ogniem działek i kaemów niszczyły punkty oporu przeciwnika, flankującymi uderzeniami rozbiły jego natarcia, a przy tym często wzbudzały panikę wśród żołnierzy Armii Czerwonej, którzy z takimi ruchliwymi minifortecami nie mieli wcześniej do czynienia. Owszem, zarówno w trakcie wojny domowej w Rosji, jak i w walce z Polakami bolszewicy dość powszechnie używali pociągów pancernych oraz samochodów opancerzonych, ale te operowały najczęściej pojedynczo, w dodatku były przywiązane do dróg żelaznych i utwardzonych szos.

Mieliśmy także sporą przewagę w powietrzu. To znowu zasługa transferu z Francji, bo z jednostkami gen. Józefa Hallera przybyło kilka kompletnie i nowocześnie wyposażonych eskadr, a ich personel latający i techniczny był stopniowo polonizowany. Nie bez znaczenia było też przejście sporych zasobów materiałowych i ludzkich po wojskach niemieckich i austro-węgierskich. Szczątkowe lotnictwo sowieckie nie miało szans w tej konfrontacji i nie odegrało niemal żadnej roli w wojnie, tymczasem nasi lotnicy nie tylko prowadzili bardzo efektywne rozpoznanie, lecz także wykonywali loty szturmowe, siejąc spustoszenie zwłaszcza w jednostkach kawalerii przeciwnika oraz w jego zaopatrzeniu.

Przeegrany pokój

Były w tej wojnie blaski, były i cienie. Należą do nich pogromy ludności żydowskiej, w tym te dokonywane przez zorganizowane jednostki polskiego wojska. Warto jednak pamiętać, że spora część z nich nie wynikała ze ślepej nienawiści lub ksenofobii, lecz była efektem faktycznego zaangażowania konkretnych społeczności żydowskich w dywersję i wywiad na rzecz bolszewików. Wisi nad nami także litewskie oskarżenie o podstępne opanowanie Wilna poprzez tzw. bunt Żeligowskiego, ale tu z kolei należy przypomnieć, że na tych ziemiach dominowała wtedy ludność polska, a Litwini nieco wcześniej zagarnęli je, korzystając z naszych chwilowych niepowodzeń w zmaganiach z sowiecką Rosją (analogicznie zachowali się zresztą Czesi w sprawie Zaolzia).

Nie wytrzymuje historycznej krytyki także ukraińskie oskarżenie o zdradę, zwłaszcza ze strony Piłsudskiego. Owszem, umawialiśmy się z Symonem Petlurą na wspólny bój i stworzenie niepodległej Ukrainy, ale rekrutacja żołnierzy nad Dnieprem poszła fatalnie, częściowo z powodu nieufności wobec atamana. Liczebność podporządkowanych mu i sojuszniczych względem nas jednostek nie przekroczyła kilkunastu tysięcy żołnierzy i oficerów zdolnych do realnej walki. Te, które powstały, były się co prawda świetnie – jak np. dywizja gen. Marka Bezruczki w obrobie Zamościa – ale nie miały wpły- ➤

wu na ogólny bilans sił. Świeżo zlepią z trzech zaborów, głodna i zrujnowana Polska, wyczerpana kolejnymi wojnami na niemal wszystkich swoich granicach, po prostu nie była w stanie dalej walczyć o wspólny interes – de facto samotnie.

Piłsudski pewnie byłby chętny, żeby mimo tych deficytów walczyć przynajmniej o przesunięcie granic jeszcze nieco dalej na wschód, aby stworzyć lepsze warunki dla projektowanego rozwiązania federacyjnego. Nie miał jednak wtedy władzy absolutnej. Na kształt traktatu ryzykownego z wiosny 1921 r. walczyli cywilni politycy, zwłaszcza związani z endecją i ruchem ludowym. Niektórzy mieli pewnie satysfakcję, torpedując geostrategiczne zamiary Piłsudskiego i przybliżając wizję „Polski tylko dla Polaków” poprzez oddanie najdalszych części Kresów. Ale oni też mieli racjonalne argumenty. To była najwyższa pora, żeby odłożyć miejsce i wziąć się do leśmieszy, tym bardziej że „biali” Rosjanie nadal nie chcieli słyszeć o niepodległej Polsce. Dalsze wiązanie rąk bolszewikom na naszym froncie mogło zmienić układ sił w wojnie domowej, więc w perspektywie groził nam nie tylko kolejny hazard w wojnie z komunistami, lecz również scenariusz potencjalnie dużo gorszy – konfrontacja z odrodzoną „białą” Rosją, na którą zapewne chętnie postawiliby wtedy nasi zachodni sojusznicy jako na lepszego partnera do długofalowego pilnowania Niemców.

Jeśli o coś można mieć do Piłsudskiego pretensje w tym kontekście, to o ciąg dalszy. W tym o zaniechanie dalszej modernizacji technicznej armii – nasza lotnictwa i pancerna przewaga nad wszystkimi sąsiadami, w tym nad ZSRR, rychło zmieniła się w fatalne zapóźnienie, a sam Marszałek walczył się do tego przyczynił, regularnie lekceważąc i dezawuuując wszelkie nowinki. Owszem, nie bez znaczenia była też ekonomiczna niewydolność całego kraju, ale nawet w ramach ograniczonych środków można było – jak dziś wiadomo – znacznie lepiej przygotować Wojsko Polskie do kolejnych konfliktów. Dało się też lepiej gospodarować materiałem ludzkim. O ile jeszcze w trakcie wojny w miarę harmonijnie potrafili współdziałać weterani różnych armii zaborczych i Legionów, o tyle potem zaczęło się sekowanie sporej części tych pierwszych. Bierni, mierni, ale wierni i politycznie bliscy mieli dużo łatwiej. Rachunek zapłaciła Polska już 19 lat po podwarszawskim triumfie.

Niech te przestrogi też towarzyszą naszym patriotycznym uniesieniom podczas oglądania świątecznej defilady. ©



Witold

Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po.Int, publicysta DGP

Szpiedzy z kraju samurajów

Gdy Japonia szykowała się do wojny z USA, szpiegowaniem wroga zajęła się Cesarska Marynarka Wojenna. Ale admirałowie nie mieli pojęcia o tworzeniu siatek szpiegowskich

Andrzej

Krajewski

W niedawnym orędziu prezydent Donald Trump oskarżył Chiny o kradzież w 2020 r. danych dotyczących 220 mln amerykańskich wyborców. I dowodził, że kraj nie jest odporny na próby wpływania przez obce wywiady na proces wybierania władz.

„Szokujące «rewelacje» Trumpa na temat Chin są wyssane z palca” – oznajmił po orędziu wiceszef senackiej komisji ds. wywiadu Mark Warner. Demokratyczny senator stwierdził, że żadna agencja wywiadowcza nie przedstawiła dowodów potwierdzających oskarżenie.

Nikt nie ma wątpliwości, że chiński wywiad od lat prowadzi w USA intensywne operacje szpiegowskie, lecz rzadko zdarzają mu się wpadki. Nie popełnia zatem błędów, które przed dekadami przydarzyły się Japonii podczas przygotowań do rzucenia wyzwania Stanom Zjednoczonym.

Ostatni sukces

„Rankiem 7 grudnia 1941 r. japoński zespół w Mexico City, przechwytyjący wiadomości radiowe Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, monitorował łączność. Amerykańska komunikacja zazwyczaj odbywała się za pomocą szyfru, ale tego ranka, co nietypowe, nadeszła wiadomość w prostym, niezaszyfrowanym języku angielskim. Treść brzmiała prosto: «Nalot na Pearl Harbor. To nie są ćwiczenia»” – opisują w opracowaniu „Agents, attachés, and intelligence failures: The Imperial Japanese Navy's efforts to establish espionage networks in the United States before Pearl Harbor” historycy Ron Drabkin, Kenji Kusunoki i Bradley W. Hart. „Dowódca Tsunezō Wachi z Cesarskiej Marynarki Wojennej Japonii przechwycił wiadomość i zdał sobie sprawę, że on i zespół byli prawdopodobnie pierwszymi Japończykami spoza grupy zadaniowej przeprowadzającej nalot, którzy się dowiedzieli, że rozpoczęła się wojna ze Stanami Zjednoczonymi” – dodają.

W tym samym czasie niedaleko bazy w Pearl Harbor szpieg Cesarskiej Marynarki Takeo Yoshikawa napawał się efektami swojej wieloletniej pracy. Dzięki jego raportom i zdjęciom dowódca japońskiej

Połączonej Floty adm. Isoroku Yamamoto mógł zaplanować precyzyjne uderzenie. Posłało ono na dno gros sił morskich Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku. Przez następne pół roku Japonia zdobywała kolejne wyspy, poszerzając obszar panowania. Bez skutecznego ataku na Pearl Harbor Yamamoto nie mógłby odnosić kolejnych sukcesów i dawać Japończykom nadziei na ostateczne zwycięstwo nad potężnymi Stanami Zjednoczonymi.

Cichym bohaterem tamtych dni była Sekcja 5 (ds. amerykańskich) Departamentu Wywiadu Cesarskiej Marynarki Wojennej. Nadzorowana przez nią siatka szpiegów rozmieszczonych na Hawajach, w Kalifornii i w Meksyku zebrała dość informacji, by to Japonia zyskała przewagę na początku konfliktu. Był to jej największy i zarazem ostatni sukces. Suma błędów, które wcześniej popełniono, zaczęła się bowiem szybko mścić.

Zaledwie pół roku po Pearl Harbor amerykańska flota w czerwcu 1942 r. rozgromiła japońską w bitwie pod Midway, odbierając Tokio inicjatywę oraz wszelkie szanse jej odzyskania. Przygotowując uderzenie na Pearl Harbor, Yamamoto wiedział o wrogu niemal wszystko. Posyłając flotę w stronę Midway, nie wiedział dosłownie niczego.

Ninja nie dla marynarki

Aż do wybuchu II wojny światowej Tokio uznawało, że głównymi wrogami są Chiny i Związek Radziecki. Od 1931 r. Tokio sukcesywnie podbijało kolejne ziemie należące do Państwa Środka i szykowało się do wojny z ZSRR. Zatem działalność wywiadowczą skoncentrowano na tych państwach.

„Cesarska Armia Japońska utworzyła Szkołę Szpiegów w Nakano, która oferowała skuteczne szkolenie wywiadowcze, lecz żaden oficer marynarki nie uczęszczał do niej, a żaden z absolwentów tej szkoły nie został wysłany do Stanów Zjednoczonych” – podkreślają Drabkin, Kusunoki i Hart. „Absolwenci ci uczyli się co najmniej jednego przedmiotu, którego nie uczą zachodnie szkoły szpiegowskie – ninjutsu, potocznie zwanego sztuką ninja” – dodają.

Siły lądowe i marynarka wojenna zaciekle rywalizowały o pieniądze, prestiż i wpływy. Zatem admirałowie musieli na polu wywiadowczym radzić sobie sami, nie do końca rozumiejąc znaczenie



szpiegostwa. „Akademia Marynarki Wojennej w Etajimie była w dużym stopniu wzorowana na brytyjskim modelu kształcenia – w oficjalnym programie nauczania znalazł się kurs «bycia dżentelmenem», ale nie oferowano kursów dotyczących gromadzenia informacji wywiadowczych ani szpiegostwa” – zauważają Drabkin, Kusunoki i Hart.

Departament Wywiadu pozostawał najbardziej niedofinansowaną komórką Sztabu Generalnego floty. Zaś Sekcja 5, gromadząca informacje na temat USA, składała się z zaledwie kilku osób. Jej wysiłki, opisują Drabkin, Kusunoki i Hart, „koncentrowały się na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, a w szczególności na Los Angeles, gdzie do 1940 r. flota Pacyfiku miała bazę. W Południowej Kalifornii produkowano ponad 60 proc. amerykańskich samolotów bojowych, a w regionie działały główne firmy produkujące samoloty, takie jak Douglas i Lockheed”.

Początkowo szpiegowaniem obarczano oficerów pełniących funkcję attaché w placówkach dyplomatycznych. Jednak szybko dało znać o sobie to, że nie przeszli oni przeszkolenia. Takuya Torii, specjalizujący się w obserwowaniu bazy amerykańskiej floty w San Pedro, w sierpniu 1932 r. upił się w restauracji i odjechał do domu samochodem. Rozbił go na szosie pod Los Angeles i zginął. Policja odnalazła przy jego ciele aktówkę pełną materiałów szpiegowskich, obciążających także zwerbowanych przez niego agentów. FBI bez problemu rozpracowało całą siatkę.

Kolejny attaché Masashi Kobayashi ostentacyjnie kręcił się w pobliżu amerykańskich baz morskich. Kiedy w 1934 r. zaproszono go na przegląd floty, zaskoczył gospodarzy olbrzymim aparatem fotograficznym z teleobiektywem oraz zapasem kilku rolek filmowych. Nic dziwnego, że znalazł się pod ścisłą obserwacją FBI oraz Biura Wywiadu Morskiego (Office of Naval Intelligence, ONI).



FOT. UPPA/PHOTOSHOT/EAST NEWS

Atak Japończyków
na bazę w Pearl Harbor.
7 grudnia 1941 r.

Na tym tle swym profesjonalizmem wyróżniał się attaché japońskiego konsulat w Honolulu Takeo Yoshikawa. Amerykańskie służby wywiadowcze do samego wybuchu wojny nie zauważyły, jak bardzo interesowała go baza w Pearl Harbor. Swoją sukces tłumaczył tym, że przed wyjazdem na placówkę uważnie przeczytał wydaną w 1926 r. autobiograficzną powieść brytyjskiego szpiega Thomasa Edwarda Lawrence'a, znanego jako Lawrence z Arabii.

Agent wart dziesięciu admirałów

„W 1934 r. komandor porucznik Nomura zainstalował odbiornik radiowy na farmie pod Los Angeles, aby przechwycić wiadomości Marynarki Wojennej USA” – opisują Drabkin, Kusunoki i Hart. A wkrótce potem utworzono zespół nasłuchu radiowego w stolicy Meksyku. Ale przez pierwsze lata zdobywane tą drogą informacje okazywały się mało istotne. Zatem próbowano werbować amerykańskich oficerów i marynarzy. I znów zaliczano przy tym wpadki typowe dla nowicjuszy. Gdy dużymi sumami przekonano do szpiegowania dla Japonii Harry'ego Thompsona, kierownictwo Sekcji 5 nadało mu kryptonim „Tomison”. Podobieństwo brzmieniowe do prawdziwego nazwiska pomogło Amerykanom odkryć tożsamość szpiega.

Aż wreszcie Japończykom przytrafił się „złoty strzał”. Okazał się nim sławny brytyjski pilot z czasów I wojny światowej Frederick Rutland. Podczas bitwy jutlandzkiej w maju 1916 r., pilotując samolot obserwacyjny, śledził położenie niemieckiej floty i na bieżąco informował o nim dowództwo Royal Navy. Misji nie przerwał mimo ciężkich uszkodzeń maszyny. Potem wielokrotnie dawał dowody męstwa, czego skutkiem były najwyższe odznaczenia bojowe.

„W latach 20. XX w. Rutland spędził kilka lat w Japonii, mieszkając i pracując w Jokohamie jako doradca ds. technologii i lotnictwa morskiego w firmie Mitsubishi oraz dla japońskiej marynarki wojennej” – relacjonują Drabkin, Kusunoki i Hart. Po zaprzyjaźnieniu się z dowództwem cesarskiej marynarki zgodził się szpiegować dla Kraju Kwitnącej Wiśni, acz niebezinteresownie. Anglik kochał pieniądze i wystawne życie, a to zagwarantowała mu Sekcja 5. Za jej fundusze kupił w 1935 r. dom w Los Angeles oraz dwa luksusowe auta. Zaczął bywać na przyjęciach i poznał najbardziej wpływowych ludzi. Jednocześnie żądał od mocodawców więcej i więcej pieniędzy. Jego średnie zarobki Drabkin, Kusunoki i Hart oszacowali na „10-krotność pensji najwyższego rangą japońskiego admirała”.

Ale też Rutland mógł się pochwalić konkretnymi wynikami. Jako bohater wojenny łatwo nawiązywał kontakty z kadrą zarządzającą z branży lotniczej, pilotami oraz oficerami marynarki. Podczas przyjęć i wspólnych wypraw do pubów wyciągał od nich istotne informacje dotyczące amerykańskich technologii, konstrukcji samolotów, a także lotniskowców. Dokumenty, które przekazał do Tokio, pozwoliły japońskim inżynierom dotrzymać kroku amerykańskiemu.

Równie cenną wiedzę zdobywał dla Japonii były oficer U.S. Navy John Semer Farnsworth, dyscyplinarnie usunięty ze służby w 1927 r. z powodu pogłębiającego się alkoholizmu. Sekcji 5 przekazał m.in. specyfikację celowników artyleryjskich i wyniki nowatorskich testów dotyczących bombardowania w lo-

cie nurkującym. Zgubiły go alkohol i chciwość. W przechwyconej i odszyfrowanej przez ONI na początku lata 1936 r. depešy japoński konsulat w Los Angeles informował Sekcję 5, że Farnsworth domaga się 50 tys. dol. W razie niespełnienia żądania groził, iż sprzeda historię prasie. Nie zdążył, bo aresztowało go FBI. Proces szpiega stał się w 1937 r. głośnym skandalem, w trakcie którego wydano z USA wielu japońskich dyplomatów. Farnswortha skazano na 12 lat więzienia, a jego zeznania sprawiły, że Amerykanie zaczęli z wielką werwą tropić szpiegów z Kraju Kwitnącej Wiśni. Jednak niekoniecznie tam, gdzie należało.

Kontrwywiadowcze łowy

„Skupiając się na rekrutacji cudzoziemców, Japońska Marynarka Wojenna umieściła metaforyczne jaja w zaledwie kilku koszykach, polegając na wybitnym Rutlandzie (...) oraz na niewielkiej grupie amerykańskich agentów, w tym kilku prawdopodobnych alkoholikach, przyłapanych na przechwalaniu się swoimi wyczynami” – piszą Drabkin, Kusunoki i Hart.

Sekcja 5 unikała prowadzenia werbunku w społeczności Nisei (Amerykanów japońskiego pochodzenia), preferując ludzi o białym kolorze skóry. Zakładano, że rzadziej budzą oni podejrzliwość. Przez pewien czas dawało to pozytywne rezultaty. Japończykom udało się wykraść w USA m.in. dokumenty dotyczące zakładów lotniczych Forda w Michigan i Boeinga w Seattle, specyfikację lekkich krążowników, metod szkolenia lotnictwa morskiego i zapis brytyjsko-amerykańskiego porozumienia dotyczącego baz na Atlantyku.

Rozbudowywano też wywiad radiowy, ze stacją nasłuchową w Mexico City na czele. To akurat zostało zauważone przez Amerykanów, acz błędnie zinterpretowane, bo szefostwa FBI i ONI zamiast analizować fakty, podążały za własnymi wyobrażeniami. „Amerykański kontrwywiad poszukiwał nieistniejących samolotów, sabotażystów, a przede wszystkim podejrzanych działań kutrów rybackich, zamiast klasycznego szpiegostwa elektronicznego i ludzkiego” – podkreślają Drabkin, Kusunoki i Hart. „Zagrozenie ze strony kutrów rybackich zwróciło uwagę nawet prezydenta Franklina D. Roosevelta” – dodają.

Zaczęto więc nieustannie obserwować japońskich rybaków przy użyciu samolotów i okrętów wojennych. „Jak się okazało, obserwatorzy mogli jedynie zauważyć, że japońskie statki łowią ryby lub, co może jeszcze bardziej podejrzane, że czasami ich nie łowią” – ironizują autorzy. Przesłuchiwany po wojnie szef stacji nasłuchowej w Mexico City Tsunezō Wachi stwierdził, że „amerykańska obsesja na punkcie japońskich kutrów rybackich była komiczna”.

Jednak i do ONI uśmiechnęło się wreszcie szczęście, bo w połowie 1939 r. Rutland uznał, że dalsza praca dla Japończyków jest zbyt ryzykowna. Zatem skontaktował się z wywiadem marynarki wojennej USA i zaproponował, iż zostanie podwójnym agentem. Amerykanie, którzy w sferze wywiadowczej wykazywali się amatorstwem podobnym do japońskiego, nie docenili tej oferty. Za-

miast przewerbować szpiega, zażądali jedynie informacji. Rutland podzielił się wiedzą, po czym, z pomocą brytyjskiej ambasady, zbiegł do Londynu. Tam początkowo go internowano, ale skoro nie działał na szkodę Zjednoczonego Królestwa, wkrótce odzyskał wolność.

Tymczasem ONI i FBI, idąc tropem tego, co przekazał Anglik, sukcesywnie rozpracowywały japońską siatkę szpiegową. Aresztowania i wydalenia dyplomatów zaczęły się wiosną 1941 r. Wśród zatrzymanych znalazł się powszechnie znany w Hollywood Toraichi Kono, długoletni kamerdyner Charliego Chaplina. „Kono miał koneksje w LA i najwyraźniej przekazywał fundusze różnym japońskim agentom” – zauważają Drabkin, Kusunoki i Hart. „Zdając sobie sprawę, że dalsze aresztowania są tylko kwestią czasu, japońscy agenci otrzymali rozkaz ucieczki do Meksyku” – dodają. W amerykańskiej prasie zapanowała histeria i każdego Japończyka zaczęto podejrzewać o bycie szpiegiem.

Ów lęk sprawił, że wkrótce po ataku na Pearl Harbor niemal cała społeczność Nisei trafiła do obozów dla internowanych. Choć nic tego nie uzasadniało. Bo ostateczna likwidacja wrogiej agentury nastąpiła w Stanach Zjednoczonych pół roku wcześniej. Wydarzyło się to po włamaniu pracowników ONI do japońskiego konsultatu w Los Angeles. Zdobyte dokumenty pozwoliły namierzyć pozostających jeszcze na wolności szpiegów. Ze wszystkich cennych aktywów Sekcji 5 pozostała po drugiej stronie Pacyfiku już tylko stacja nasłuchowa w Meksyku.

„Pechowo dla Tokio w 1941 r. nowy prezydent Meksyku Manuel Ávila Camacho i jego gabinet okazali się zdecydowanymi zwolennikami Stanów Zjednoczonych” – podkreślają Drabkin, Kusunoki i Hart. Zaraz po ataku na Pearl Harbor prezydent Camacho zaoferował Rooseveltowi współpracę, w tym na polu walki z japońskim wywiadem. Na nic zdała się desperacka próba, by dotrzeć do niego z olbrzymią łapówką. Meksykańska policja wspólnie z FBI ruszyły na łowy.

Zatem 16 grudnia 1941 r. Tsunezō Wachi postanowił ukryć wyposażenie stacji nasłuchowej. „Miejscowy rolnik zauważył grupę Japończyków zakopujących duże urządzenia i zgłosił to policji. Meksykańska prasa z zapartym tchem relacjonowała ten incydent” – opisują Drabkin, Kusunoki i Hart. Japończyków internowano, a następnie w kwietniu 1942 r. odesłano do ich ojczyzny.

Tak Cesarska Marynarka Wojenna utraciła wywiad radiowy na całej zachodniej półkuli. Stracono też wszelkie inne źródła informacji. Kontradmiral Minoru Maeda, który kierował w sztabie marynarki sekcją N-3 zajmującą się analizą, wspominał po wojnie: „Używanie dokładnego obrazu sytuacji wroga było praktycznie niemożliwe. Gdyby po ataku na Pearl Harbor istniały jakiegokolwiek informacje o siłach wroga, Departament Operacyjny prawdopodobnie ponownie rozważyłby operację skierowaną na Midway. Paraliż Trzeciego Departamentu (wywiadu – red.) w krytycznym momencie wojny stał się największą tragedią w moim życiu”. Tak Japonia, odcięta od możliwości aktualizowania swej wiedzy o Stanach Zjednoczonych, obrała kurs na nieuchronną klęskę. ©

Groza na Południu

W potocznym wyobrażeniu basen Morza Śródziemnego jest krainą niespiesznej i nieustającej radości. A przecież zarówno w jego historii, jak i teraźniejszości jest tylko jedna stała: zmiany

Sebastian

Pawlina

Historia ciąży nad Morzem Śródziemnym. Widać to w toponimii miast i wysp, w tym, kto te nazwy nadawał. Największe miasto Krety, Heraklion, od czasów antycznych nosiło też miana: Rabd al-handaq, Khandaq, Candia i Megalo Kastro. Nazywali je tak kolejno Arabowie, Wenecjanie i Bizantyńczycy. A albańskie Durres? W zależności od tego, kto nad nim panował, nazywało się Durazzo, Dyrrhachion, Dyrrachium albo Drac. Ale nawet jeśli nazwy trwały, to zmieniały się ci, którzy rządili. Mare Nostrum to teatr, nad którym choćby w części władzę uzurpowało sobie wielu – Grecy, Persowie, Rzymianie, Kartagińczycy, Egipcjanie, Arabowie, Turcy, Wenecjanie, Joannici, Francuzi, Anglicy...

Każda z tych zmian była efektem krwawych starć, zmieniających się sojuszy, a niosła za sobą nie tylko nowych panów, lecz także język, prawa i podatki. Ale i tak z jakiegoś względu świat śródziemnomorski przyciąga tych, którzy szukają w nim czegoś, czego brakuje im u siebie. Fernand Braudel, wielki francuski historyk, w swoim opus magnum, „Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II”, pisał: „Namiętnie pokochałem Morze Śródziemne, niewątpliwie dlatego, że przybyłem z Północy, jak tyłu innych i po tyłu innych”. Niemal 1000 lat wcześniej z Północy pod słońce Południa wkroczyli przodkowie Braudela.

Burza normañska

Mniej więcej w połowie drogi między Salerno a Bari leży licząca niespełna 12 tys. mieszkańców Venosa. Według legend założył ją uciekinier z Troi, zaś zgodnie z historią od 291 r. p.n.e. miasto należało do Rzymu. Po jego upadku przejmowali je kolejno Ostrogoci, Longobardowie, Bizantyńczycy, po których dostało się ono w posiadanie synów Tankreda de Hauteville. Kości pięciu z nich znajdują się w odsuniętym od miasta opactwie Trójcy Przenajświętszej, we wspólnym kamiennym sarkofagu. Przeniesiono je do niego dopiero w XVI w. Pierwotnie, na co zwraca uwagę historyk Levi Roach, autor „Imperiów Normanów”, każdy ze zmarłych był pochowany w osobnym grobie, co symbolizowało różne drogi,

którymi podążali bracia. Bo choć mieli jednego ojca, to w ich polityczne ambicje wpisane było dbanie o własne interesy, bez taryfy ulgowej dla rodziny.

Ze wszystkich grobowców najbardziej imponującym był ten należący do Roberta Guiscarda. Szczególną uwagę zwracała wyryta inskrypcja, która – jak zapisał jeden z ówczesnych kronikarzy – głosiła: „Tu spoczywa Guiscard, groza świata./ Wypędził z Miasta [Rzymu – przyp. SP]/ króla Ligurów, Rzymian i Germanów./ Ani Partowie, ani Arabowie, ani armia macedońska/ nie mogli ocalić Aleksego,/ Tylko ucieczka; lecz ani ucieczka,/ ani morze nie mogły ocalić Wenecji”.

Rolą takich tekstów nie było jedynie wspomnienie tego, kogo dotyczyły, ale również wychwalanie jego dokonań, propaganda sukcesu. Nie musiały ściśle trzymać się faktów. Prawdą było jednak to, co zapisano w pierwszym wersie. Roberta Guiscarda nie bez powodu nazywano „terror mundi” – grozą świata. Miał dobre podstawy do tego, aby bali się go najwięksi ówczesnego świata. Był w końcu Normanem, potomkiem wikingów, którzy atakując w 793 r. klasztor na wyspie Lindisfarne, rozpętali burzę normañską, okres dużych i gwałtownych zmian na mapie politycznej Europy.

Gdy na początku X w. osiedlili się na północy Francji, w Normandii, zaczęli zmieniać swój styl życia. Zamiast nieustannych wypraw morskich skupiali się w większym stopniu na budowaniu posiadłości ziemskich. Życie w coraz bardziej zorganizowanej społeczności, wkręconej w tryby średniowiecznych układów lennych, miało przecież swoje wady. Nadana im ziemia co roku miała tę samą wielkość, a chętnych do podziału przybywało – Normanowie byli nad wyraz płodni – więc ci, którzy chcieli zrobić karierę i zarobić, musieli poszukać nowych obszarów.

Zarządzanie przez chaos

Nie wiadomo, kiedy przybyli na południe Półwyspu Apenińskiego. Według kroniki Amatusa, benedyktyna z klasztoru Monte Cassino, stało się to w 999 r., gdy jako pielgrzymi powracali z Ziemi Świętej. Mieli się zatrzymać w pobliżu obleganego przez Saracenów Salerno. Widząc, co się dzieje, udali się do lokalnego księcia, od którego dostali



Malowidło naścienne z ok. 1835 r. przedstawiające wjazd Roberta Guiscarda oraz hrabiego Rogera I do Palermo

broń oraz konie. Zrzucili szaty pątników i zrobili to, co potrafili najlepiej – ruszyli do walki. Bez problemu przegnali napastników. Mieszkańcy miasta w zachwycie od razu zaproponowali wybawicielowi, aby się u nich osiedlili. Gdy ci odmówili, i tak usłyszeli, żeby sprowadzili rodaków.

Inna wersja głosi, że pojawili się dopiero w 1017 r. Wtedy to grupa banitów – prowadzona przez pięciu braci wygnanych za zabójstwo z rodzinnych ziem – przyłączyła się do niejakiego Melusa, longobardzkiego arystokraty szukającego wsparcia w planowanej wojnie przeciwko Bizancjum, które kontrolowało część półwyspu. Początkowo Melus odnosił zwycięstwa, ale ostatecznie to jego przeciwnik triumfował. W decydującej bitwie z 250 normañskich rycerzy przeżył 10.

Niezależnie od tego, która z tych dwóch wersji jest zgodna z prawdą, faktem jest, że na początku XI w. Normanowie przenikali w rejon Morza Śródziemnego. Nie był to zorganizowany najazd, ale wyprawy pojedynczych, niewielkich grup pielgrzymów i banitów. Opuszczali

Normandię z różnych powodów. Łączyło ich to, że nie mogli wrócić – albo nie mieli tam perspektyw na lepsze życie, albo groził im katowski miecz. Południe Półwyspu Apenińskiego było zaś wymarzonym miejscem na zaczynanie wszystkiego od nowa. Rozdrobnienie i brak jednej, niepodważalnej siły kontrolującej sytuację tworzyły idealne warunki do tego, aby dysponując nawet niewielkimi siłami, móc stopniowo powiększać swoje znaczenie.

Normañskie bandy zaciągały się więc na służbę longobardzkich książąt. Według Dariusza Piwowarczyka, historyka i autora „Normanów i Bizancjum w XI wieku”, konflikty były dla nich jedyną formą politycznej ekspresji, co brało się z tego, że jakiegokolwiek poważniejszego działania były uniemożliwiane przez dwóch cesarzy – niemieckiego i bizantyjskiego. Nie potrzebowali oni kolejnego konkurenta do panowania nad Italią.

Nie wiadomo, czy najemnicy zdawali sobie z tego sprawę, ale i tak robili wszystko, żeby ich mocodawcy nie znużdził ciągły najazd i potyczkami. Robili to mądrze, nie pozwalając, aby którykolwiek z możnych wybił się ponad resztę. Do perfekcji opanowali strategię zarządzania przez kryzys, zanim ktokolwiek wpadł na to, jak to nazwać.

W trzeciej dekadzie XI w. na liście swoich klientów mieli książęta z Salern-



no, Kapui i Neapolu, obsadzali jeden z garnizonów Bizantyńczyków, a do tego jako świeżo nawróceni chrześcijanie dbali o to, aby włos z głowy nie spadł benedyktynom z Monte Cassino. Czasami w tych konfliktach stawali naprzeciwko rodaków, ale wiedząc, że im więcej ich, tym lepiej, dbali, aby przegranym nic się nie stało. No i zwycięzcy sami mogli kiedyś potrzebować kogoś, kto by ich ocalił. Oprócz tego wierni byli tylko jednej zasadzie – walczyli dla tego, kto lepiej płacił. Będąc na dorobku, nie zawracali sobie głowy innymi argumentami. Do czasu.

Bracia de Hauteville

Najpierw Rajnulf Drengot, jeden z tych, którzy przeżyli klęskę Melusa, pomógł odzyskać tron władcy Kapui, którego niedługo później zdradził na rzecz księcia Neapolu. Seria kolejnych zmian mocodawców, ślub i odrobina wysiłku sprawiły, że w 1038 r. cesarz niemiecki potwierdził jego dwa tytuły – hrabiowski oraz książęcy. Ludzie Północy zdobyli swój pierwszy przyczółek, z którego mogli ruszać już nie tylko po bogactwo, lecz także władzę.

Trzy lata wcześniej pod rozkazy Rajnulfu zaciągnęli się Wilhelm i Drogon, synowie Tankreda de Hauteville, dziel-

nego i oddanego władcy Normandii rycerza, który jednak nie posiadał majątku pozwalającego na to, aby jego 12 (sic!) męskich potomków zrobiło karierę na rodzinnej ziemi. Musieli więc ruszyć w świat. W nowym miejscu szybko zaczęli budować swoją pozycję. Pomogła im w tym wyprawa wojenna przeciwko arabskiej wówczas Sycylii, organizowana przez bizantyjskiego cesarza Michała IV. Wymusił on na longobardzkich książętach, aby przysłali mu część swoich oddziałów. No i ci oddali tych, z którymi mieli najwięcej kłopotów – Normanów. Podczas jednego ze starć Wilhelm jednym ciosem położył pewnego emira. W uznaniu nadano mu przydomek „Żelaznoręki”.

Pomimo wzorowej postawy w całej kampanii Normanowie nie byli szanowani przez bizantyjskich dowódców. Ci widzieli w nich jedynie najemników, z którymi nie trzeba się liczyć. W efekcie bracia de Hauteville i reszta przy pierwszej okazji powrócili na Półwysep Apeniński, gdzie bez wahania zaczęli atakować ośrodki należące do Bizancjum. W krótkim czasie opanowali kilka z nich, w tym Venosę, gdzie Drogon założył później opactwo Trójcy Przenajświętszej, a także Melfi, które de Hauteville-owie zamienili na swoją pierwszą stałą siedzibę w Italii. To właśnie tam we wrześniu 1042 r. spotkali się normańscy przy-

wódcy i podzielili między siebie ziemie, które dopiero planowali zdobyć na wojnie z Konstantynopolem. Za swojego zwierzchnika wszyscy zgodnie uznali longobardzkiego księcia Salerno.

Szybko jednak wpadli w te same schematy, których istnienie jeszcze niedawno podtrzymywali wśród Longobardów – atakowali się nawzajem. Narosłe przez wieki przyzwyczajenia dały o sobie znać. Miało się to jednak niebawem zmienić.

Umysł żywy i chciwy

Sprawcą rewolucji kulturowej wśród Normanów oraz politycznej nie tylko w Italii, lecz także w niemal całej wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, był najstarszy z przyrodnych braci Wilhelma i Drogon – Robert, potem zwany Guiscardem. Na Półwysep Apeniński przybył w 1046 r. Jak wielu innych Normanów gnających na południe Europy w poszukiwaniu bogactw i sławy, pojawił się z niemal pustymi rękoma.

Bracia nie zamierzali ułatwiać mu życia. Więzy krwi nie były dla nich wystarczającym powodem do tego, żeby postawić go na równi z sobą. Być może też uznali, że skoro oni musieli dosłownie wyrębać sobie drogę do szczytów, to i on powinien dojść do wszystkiego

sam. Robert szybko to zrozumiał. Najpierw więc znalazł sobie protektora, później wydał młodszą siostrę za jednego z hrabiów, a w końcu zebrał oddział. Mając w ręku podstawowe narzędzia ówczesnej polityki, czyli układy oraz brutalną siłę, zaczął atakować każdego – Bizantyńczyków, Longobardów, a także braci. Ci, chcąc pozbyć się natręta, wysłali go do Kalabrii, która cały czas znajdowała się poza kontrolą Normanów. Pewnie mieli nadzieję, że zajęty tam trudami życia uspokoi się i da im pomnażać majątek oraz władzę.

Tymczasem Robert z dala od nadzoru rodzinnego krok po kroku budował swoją potęgę i legendę. Z każdym kolejnym zwycięstwem udawał, jak znakomitym jest dowódcą. Nie tylko odważnym i silnym, lecz także w pełni oddanym swoim żołnierzom. Jadł i spał z nimi, wzmacniając w ten sposób więź, dzięki której mógł oczekiwać od nich na polu walki więcej niż ktokolwiek inny. Współcześni mu kronikarze i ci żyjący trochę później, pisząc o nim, nie byli w stanie uciec od tonu zachwytu.

„Robert był młodym mężczyzną nawyklą do trudów, roztropnym i pomysłowym, gotowym, gdy była taka potrzeba, przyłożyć ręki do wszystkiego, zawsze dążącym do kariery, znajdującym upodobanie w pomnażaniu honoru i sławy” – pisał tworzący pod koniec XI w. Wilhelm z Apulii. Z kolei Anna Komnena, córka zasiadającego na tronie w Konstantynopolu cesarza Aleksego I, który jako jedyny był w stanie rzucić wyzwanie Robertowi, w swojej „Aleksjadzie” opisywała Guiscarda jako człowieka, który już wyglądem udawał swoją potęgę i „jak głosiła wieść i mówili ludzie, stał się nadzwyczajnym wodzem, miał żywy umysł, piękną powierzchowność, był dworny w słowach, bystry w rozmowie. Głos jego brzmiał silnie, sam był ujmujący w postępowaniu”.

Ponadto miał być według niej zapalczywy, brutalny, bezwzględny oraz żądny zysków. A to zaledwie kilka z określeń, którymi autorka tworzyła obraz człowieka, który zasłużył na nazwanie go terror mundi. Takie słowa nie mogą jednak dziwić, skoro Bizancjum zaznało z jego ręki niejednej klęski. Poza tym był potomkiem wikingów, a pochodzenie zobowiązuje.

Guiscard znaczy sprytny

Anna Komnena zauważyła w swoich zapiskach również, że „odznaczał się wielką przebiegłością”. I to była chyba jego największa siła. Kroniki pełne są opisów forteli, którymi zapewniał sobie przewagę nad przeciwnikami. Wielokrotnie w przebraniu wieśniaka wkładał się do miast, które planował podbić. W ten sposób osobiście mógł zobaczyć umocnienia i wybać nastroje.

Pewnego razu wpadł w tarapaty. Zaczęło się od tego, że popełnił błąd. A może to my tak to widzimy, a on zwyczajnie zagrał va banque? Udał się do miasta Gerace, nie kryjąc tego, kim jest. Mieszkańcy pojмали go i chcieli zabić, ale z opresji wybawili go ➤

lokalni rządzący. Szybko przekonał ich, że ścinanie go czy nabijanie na pal nie jest mądrym pomysłem, bowiem jego bracia go pomszczą. Podczas pertraktacji obiecał, że jeśli wypuszczą go na wolność, on nie wybuduje warowni kontrolującej Gerace. Uradowani mieszczanie przystali na to. Popełnili błąd. O ile bowiem Robert słowa dotrzymał, o tyle w układzie nie było nic na temat tego, że jego bracia również nie będą mogli osadzić w Gerace garnizonu. Gdy mieszkańcy zaczęli się burzyć, ich niedawny więzień bez wahania zagroził, że jeśli się nie uspokoją, krwawo stłumi ich bunt.

Inną z jego zalet była cierpliwość. Umiał czekać na moment, w którym będzie mógł zadać cios. Tak stało się w przypadku dość skomplikowanej relacji z jednym z jego dawnych protektorów, który unikał spotkania z nim sam na sam. Bał się, że Robert może chcieć siłą odebrać mu majątek, i dlatego zawsze ochraniało go kilku żołnierzy. W końcu jednak, gdy podopieczny zaproponował mu krótką rozmowę na osobności, odeszli na pewną odległość od ochrony. Robert rzucił się na niego i już po chwili biegł do swoich rycerzy z jeńcem przerzuconym przez ramię. Kilka miesięcy później otrzymał za niego pokazywany okup.

W efekcie takich historii zaczęto go nazywać „Guiscard”, co w języku Normanów oznacza „sprytny, przebiegły”, ale też „łasicę”. Przydomek nadał mu siostrzeniec jego pierwszej żony, Abelard. Ślub z nią przyspieszył rozwój kariery Roberta. W ramach posagu otrzymał wówczas bowiem 200 rycerzy. Była to poważna siła, która pozwoliła Guiscardowi znacząco wzmocnić swoją pozycję. Związek przetrwał tylko kilka lat. Rozpadł się jednak nie z powodu niedobrania małżonków. Jak stwierdza Piwowarczyk, brakuje dowodów na to, aby Abelarda miała do męża żal o rozwód. Po śmierci nawet spoczęła w tej samej kaplicy, w której pochowano braci de Hauteville. Przyczyna była bardziej prozaiczna. Przed Robertem otworzyła się możliwość ożenku z siostrą księcia Salerno, Siselgajtą. Sama żona oczywiście miała mniejsze znaczenie. Liczyło się to, kto za nią stał. A księżę to jednak księżę. Przynajmniej dopóki był potrzebny.

Wielkie marzenia

Guiscard był mistrzem chwytania okazji. Nie chodziło jedynie o ponadprzeciętny spryt, lecz również o duży talent polityczny. Potrzebował zaledwie 15 lat, aby z mało znaczącego i biednego rycerza, którego gnębili bracia, zmienić się w hegemon, a z kogoś, kto cieszył się z 200 zbrojnych, stać się kimś, kto zbierał niemal 30-tysięczną armię.

Gdy zabrakło Wilhelma Żelaznorękiego oraz Drogona – pierwszy zmarł, zanim Robert pojawił się na południu, a drugi zginął zamordowany prawdopodobnie na zlecenie Bizantyjczyków – wyrósł na najważniejszego spośród braci de Hauteville. To był pierwszy krok ku wielkości. Przełom nastąpił na początku lat 50. Papiestwo oraz Konstantynopol zaczęły się wtedy martwić rosnącą pozycją Normanów. O ile

podupadający na znaczeniu Longobardowie od dawna byli jedynie lokalną atrakcją, niegroźną w większej skali, o tyle ich niedawni najemnicy wyraźnie chcieli czegoś więcej.

Papież i cesarz zawiązali więc sojusz, który miał zdławić zagrożenie w zarodku. Normanowie mieli jednak inne plany. 17 czerwca 1053 r. w bitwie pod Civitate rozbili siły papieskie wsparte oddziałami wypożyczonymi przez niemieckiego cesarza Henryka III. Zamiast pojmać papieża i domagać się za niego okupu, ich dowódcy, wśród nich Guiscard, ukłękli jednak przed nim i poprosili o łaskę i błogosławieństwo. Ten – przerażony i zaskoczony – zrobił to, co chcieli. Dariusz Piwowarczyk tłumaczy, że dzięki temu posunięciu Normanowie odebrali papieżowi moralne prawo do dalszego stawiania przeciwko nim. Nietrudno wyczuć w tym inspirację Roberta.

Od tego momentu Normanowie budowali swoją pozycję obrońców chrześcijaństwa, choć ich relacje z papieżem dalekie były od stabilności. Przeciw Guiscardowi trzykrotnie wymierzano najstraszniejszą broń z kościelnego arsenału, choć w średniowieczu nadużywaną, co prowadziło do osłabiania jej siły wyrazu – ekskomunikę. Ale gdy w 1081 r. niemiecki cesarz ruszył na Rzym, aby zdetronizować papieża, obaj poprosili Roberta o pomoc. Ten odprawił posłów obu stron. Nie chciał tracić czasu na coś, co dla niego było zaledwie lokalną sprzeczką.

Guiscardowi marzył się podbój Konstantynopola i tron cesarski. Bo cóż mu zostało? Kontrolował już dużą część Italii, odebrał Arabom niemal całą Sycylię. Na północ nie chciał iść, zachód nie oferował niczego godnego jego ambicji... Wschód miał bogactwa i sławę, których tak pożył. Rozpętał więc kolejną wojnę. Przy okazji starał się zabezpieczyć synów na przyszłość, tak żeby każdy z nich dostał pokazywany spadek.

Do ostatnich dni robił, co mógł, aby zrealizować i ten cel. Nie zdążył. Po krótkiej chorobie zmarł 15 lipca 1085 r. na Kefalonii, największej z Wysp Jońskich. Do dzisiaj istnieje tam wioska Fiskardo, nazwana tak od łacińskiego zapisu jego przydomka – Viskardus. Niech znaczenia temu miejscu nada jeszcze to, że według jednej z najnowszych teorii dotyczących Homera to Kefalonia była tą właściwą Itaką. Guiscard jako średniowieczny Odyseusz?

To oczywiście jedynie konstrukt wyobraźni. Na pewno możemy powiedzieć to, że Robert pozostawił po sobie silne państwo, które w ciągu zaledwie kilku dekad potrafiło rzucić wyzwanie największym potęgom ówczesnego świata. Jego dzieło kontynuowali bracia oraz synowie, zaś w kraju, z którego pochodził, wspominano go śpiewem. Jak dawniej mitycznych herosów. Bo na swój sposób był jednym z nich.

©©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

Idee

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS



O Adamie Smicie filozoficznie

Lukasz Hardt

Wiele już w tym roku ukazało się publikacji o Adamie Smicie i jego ekonomii w 250. rocznicę publikacji „Bogactwa narodów”. Autorzy tych tekstów często nie tyle piszą o genialnym Szkocie, ile wykorzystują jego myśl do uzasadniania własnych poglądów. Nihil novi, bo paradoksem oraz okrucieństwem bywa to, że idee wielkich myślicieli są reinterpretowane w taki sposób, że oni by się z tym z pewnością nie zgodzili.

Weźmy najbardziej znaną koncepcję Smitha: metaforę niewidzialnej ręki. Nawiązując do niej praktycznie wszyscy piszący rocznicowe teksty, lecz rzadko próbując dociec jej wyjściowego znaczenia. To, że metafora ta jest obecnie tak popularna, podczas gdy w 1876 r. – w 100. rocznicę wydania „Bogactwa...” – była rzadko obecna w dyskusji o Smicie, świadczy o istotnej zmianie, jaka dokonała się w ekonomii.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dajcie mi kraj, a cło się znajdzie

Artur Klimek

Choć taryfy nałożone przez USA na najważniejszych partnerów handlowych zmalały z kilkudziesięciu do kilkunastu procent, ich wprowadzenie nie będzie łatwe. Na przeszkodzie mogą stanąć sądy, które zakwestionowały już wiele działań administracji w zakresie cła. Najnowsza odsłona protekcyjnej polityki Donalda Trumpa to zastosowanie sekcji 301 ustawy o handlu z 1974 r. wobec 86 krajów oraz sekcji 338 ustawy z 1930 r. wobec Kanady.

Ekonomiczne efekty taryf pozostają mizerne, mimo że celne potyczki trwają już od ponad półtora roku. Deficyt handlowy USA utrzymuje się na wysokim poziomie, zadłużenie publiczne osiąga rekordowe poziomy, a gospodarki postrzegane jako zagrożenie dla amerykańskich interesów radzą sobie całkiem dobrze. Trudno więc znaleźć racjonalne uzasadnienie dla nowych cła.

Choć stawki pozostają na dość stabilnym poziomie, każda zmiana administracyjna pociąga za sobą konieczność dostosowania systemów informatycznych i sposobu raportowania. Nawet zwroty niesłusznie zapłaconych cła IEEPA (ustanowionych na podstawie International Emergency Economic Powers Act) nie odbywają się automatycznie. Każda firma musi złożyć odpowiednią deklarację. Powoduje to niezliczone komplikacje i podważa przewidywalność warunków prawnych, co nie służy biznesowi, szczególnie temu mniejszemu, który nie może sobie pozwolić na zatrudnienie armii prawników.

Czym tym razem zawiniła Kanada? Otóż nie godzi się na nową wersję porozumienia o wolnym handlu na kontynencie amerykańskim (USMCA), a jednocześnie podejmuje środki odwetowe. Kanada, oprócz Chin, była jedynym

Kim więc był Adam Smith i jakie są jego najważniejsze myśli, które w rocznicowym roku warto przywołać? Nie da się odpowiedzieć na to pytanie bez uwzględnienia dwóch podstawowych faktów.

Po pierwsze, Smith był filozofem. I gdy argumentował za ludzką wolnością, to nie z tego powodu, że służy ona ekonomicznej efektywności, lecz dlatego, że w przestrzeni wolności skłonności ludzkiej natury mogą najpełniej rozkwitać. Po drugie, Smith tworzył w konkretnym kontekście – był uczniem Hume’a i znajdował się pod silnym wpływem angielskiego oświecenia. Stawał w centrum człowieka, lecz człowiek nie miał być rządzającym światem demiurgiem, tylko miał odkrywać to, czego sam nie ustanowił. Słusznie więc Smith bywa przedstawiany jako ten, który sprzeciwiał się centralnemu planowaniu i inżynierii społecznej.

Jednocześnie Smith nie był leseferystą i widział szerokie pole dla działania rządu, w tym w celu budowania sprawiedliwego porządku społecznego. Dlatego zawsze, gdy przywołujemy zdanie z „Bogactwa...”, że „skłonność do wymiany, handlu i zamiany jednej rzeczy na drugą (...) jest jedną z tych pierwotnych cech natury ludzkiej, których nie można już bliżej wyjaśnić”, rozumiane jako podkreślenie egoistycznej natury człowieka, to zawsze trzeba je czytać w kontekście fragmentu z „Teorii uczuć moralnych”, pracy Smitha z 1759 r.: „Jakkolwiek samolubnym miałby być człowiek, są niewątpliwie w jego naturze jakieś pierwiastki, które powodują, iż interesuje się losem innych ludzi, i sprawiają, że ich szczęście jest dla niego nieodzowne”, który z kolei wskazuje na silnie obecny w ludzkiej naturze altruizm.

Taki jest właśnie Smith – jego pogląd na możliwość odkrycia przez człowieka prawdy o świecie zgodny jest z przekonaniem Hume’a z „Traktatu o naturze ludzkiej”, że to, co może człowiek, to tylko budować coraz bardziej pewne przypuszczenia o świecie, ale „przypuszczenia te nigdy nie mogą być ostateczne i niepodważalne”. Nie bez racji Popper mówił o XVIII-wiecznych szkockich filozofach jako o filozofach przypuszczeń.

Ekonomia Smitha była więc nauką pokorną, formułującą ostrożnie przypuszczenia o świecie, z prawami rozumianymi jedynie jako twierdzenia o występowaniu tendencji; więc nie ma w niej praw uniwersalnych, bo kluczowy jest kontekst. Choć jest jedno miejsce jego filozofii, gdzie prawa ekonomii nabierają uniwersalnego charakteru – są to modele teoretyczne, nazywane przez Smitha abstrakcyjnymi maszynami. To ważny obszar refleksji Szkota, często w debacie naukowej pomijany, bo świadczy o tym, że dla autora „Bogactwa...” istnieje obiektywna rzeczywistość, którą przedmiotem swojego zainteresowania mogą czynić nauki społeczne, w tym ekonomia.

Wreszcie, ekonomia Smitha była nauką moralną. Nauką o ludzkich wyborach i działaniu, refleksją nad tym, jaki powinien być porządek społeczny, aby

krajem, który oficjalnie się na nie zdecydował. Prezydent Trump zagroził też Ottawie kolejnymi cłami jako karą za napływ do Stanów Zjednoczonych zanieczyszczonego powietrza związanego z pożarami lasów.

Kanada ma dość skomplikowany system decyzyjny w polityce celnej – obciążenia na importowany z USA alkohol ustanawiają prowincje, bo to one kontrolują obrót trunkami. Taryfy nie są jedynym powodem, dla którego spadła tam sprzedaż burbona. Większe znaczenie ma urażenie dumy Kanadyjczyków sugestiami, że ich kraj mógłby stać się kolejnym amerykańskim stanem. W rezultacie doszło do bojkotu konsumenckiego i ograniczenia wyjazdów turystycznych do USA. Im dłużej trwa zware, tym większe straty ponoszą obie strony.

Do nałożenia karnych cel w wysokości 50 proc. na towary o wartości ok. 20 mld dol. wykorzystano nigdy wcześniej niestosowaną sekcję 338 ustawy z 1930 r. Przepis ten pozwala władzy wykonawczej ustanawiać taryfy (do 50 proc.) i embarga na import z krajów, które stosują wobec Stanów Zjednoczonych dyskryminujące praktyki. Status produktów wynikający z innych umów – takich jak choćby USMCA – nie ma tu znaczenia. Wejście w życie nowych cel zaplanowano na 19 sierpnia, jest więc jeszcze czas na negocjacje. Kanada znajduje się w dość trudnej sytuacji gospodarczej, można więc oczekiwać, że będzie skłonna do rozmów.

Administracja USA uzasadniła nałożenie na nią cel dyskryminacją amerykańskich produktów z trzech kategorii: samochodów i ich części motoryzacyjnych, napojów alkoholowych i produktów mleczarskich. Trudno jednak wskazać państwo, które traktuje Kanadę gorzej niż jej sąsiad z Południa.

Tworzy to skomplikowaną układankę, bo różne produkty mogą podlegać różnym regulacjom. Pojawia się też kwestia kumulacji cel. W pewnym stopniu

Ekonomiczne efekty taryf pozostają mizerne, mimo że celne potyczki trwają już od ponad półtora roku

Ekonomia Adama Smitha jest nauką moralną. Nauką o ludzkich wyborach i działaniu

człowiek mógł być jak najbardziej człowiekiem. Skoro w jego naturze jest być dla innych, to bycie to może być realizowane tylko w przestrzeni wolności. Dlatego warunkiem ludzkiej solidarności jest właśnie wolność. W refleksji Smitha można szukać argumentów za tym, że nie wszystko, co służy ekonomicznej efektywności, jest moralnie dopuszczalne. Dla Szkota działać dobrze to działać zgodnie z ludzką naturą, a nie tak, by było to jedynie przyjemne i dla działającego korzystne. Jednocześnie dobre działanie musi być cnotliwe i płynąć ze stałego usposobienia, a nie z pojedynczego aktu zgodnego z regułą. Można przecież postąpić dobrze, nie będąc człowiekiem sprawiedliwym, bo o cnotie rozstrzyga dopiero trwały charakter wyrobiony nawykiem.

Koncząc, warto przywołać metaforę niewidzialnej ręki, ale nie tyle po to, aby się wpisać w kanon rocznicowych rozważań o Smicie, ile po to, aby spróbować głębiej wczytać się w znaczenie tej idei. I znowu, mamy tutaj ciekawe intelektualnie napięcie – z jednej strony niewidzialna ręka jest esencją mechanizmu rynkowego tworzącego spontaniczny porządek; ale z drugiej – tenże porządek rozbija i, być może, jest nawet zasłoną mającą ukryć ciemną stronę rynku. Na taką możliwość wskazuje to, że Smith znakomicie znał twórczość Szekspira, a przecież w „Makbecie” jest fragment: „Droga ma duszko, bądź niewinną wiedzy, / Póki spełnionej nie przykłaśniesz sprawie. / Przyjdź, ciemna nocy, owiń swoją szarfą / Czułe zrenice dnia liłościwego, / A swoją krwawą, niewidzialną ręką / Potargaj węzły, co blednąc mi każą!”.

Ta niewidzialna ręka w wypowiedzi Makbeta nie ma charakteru transcendentnego, ale bardziej ma zakryć, tak jak ciemna noc, jego niegodziwe postępy. Co do tej ciemnej strony rynku można oddać głos samemu Smithowi, który w „Bogactwie...” pisze: „Społeczeństwo, którego przeważająca część członków jest biedna i nieszczęśliwa, z pewnością nie może być kwitnące i szczęśliwe”.

Adam Smith trafnie bywa nazywany kowalem współczesnej ekonomii, a rozliczne teksty związane z jubileuszem publikacji jego najważniejszego dzieła świadczą o tym, że nadal jest ważnym punktem odniesienia. Warto czytać Smitha, a lektura ta dowodzi, że ekonomia na silniejszych związkach z filozofią może tylko zyskać. ©©

Autor jest profesorem ekonomii, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim, jest wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego

można to porównać do hipotetycznego zniesienia swobody przepływu towarów w Unii Europejskiej i powrotu do cel.

Oprócz Kanady nowe taryfy obejmą jeszcze 60 gospodarek (UE traktowana jako jeden podmiot) za nieprzestrzeganie przepisów dotyczących importu produktów wytworzonych przy wykorzystaniu pracy przymusowej. Stawki wynoszą 10 proc. albo 12,5 proc. W niektórych przypadkach będą one dodawane do stawki wynikającej z klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Po przeanalizowaniu dokumentów i przesłuchaniu świadków dla części krajów ustalono niższe stawki celne, niż pierwotnie planowano, podczas gdy wobec innych zastosowano wyższe.

Brak wyraźnego zróżnicowania stopnia naruszeń ograniczeń dotyczących importu produktów wytworzonych z wykorzystaniem pracy przymusowej aż prosi się o postępowanie sądowe. Wrzucenie do jednego worka UE i Pakistanu trudno będzie uzasadnić. Warto też zauważyć, że nowe obciążenia wprowadzono kilka tygodni po zakwestionowaniu przez Sąd Najwyższy cel ustanowionych na podstawie IIEPA.

W Sądzie ds. Handlu Międzynarodowego USA pojawiły się już pierwsze pozwы. Sprawy wniosło kilka stanów i przedsiębiorstw. Podobną procedurę zastosowano wcześniej w przypadku cel IIEPA. Firmy dotknięte taryfami odniosły sukces, choć batalia trwała długo i przeszła przez wszystkie instancje. Sytuację komplikuje brak praktyki orzeczniczej dotyczącej sekcji 338. Nie wiadomo, jak zinterpretują ją sądy.

Trudno też mówić o trosce o standardy pracy na świecie, skoro zastosowano liczne wyłączenia. Należy to raczej interpretować jako próbę ochrony amerykańskiej gospodarki. Na liście wyjątków znalazły się niektóre produkty rolne, farmaceutyki i komponenty wykorzystywane w branży półprzewodników i lotnictwie. Chodziło o uniknięcie sytuacji podobnej do tej ze wzrostem cen kawy importowanej z Brazylii.

Ustawy, na które powołuje się administracja Trumpa, uchwalono w szczególnych okolicznościach: podczas wielkiego kryzysu i zimnej wojny. Miały być stosowane w wyjątkowych przypadkach, a nie na skalę masową.

Prawnicze dyskusje o nowym porządku światowego handlu można streścić humorystycznym stwierdzeniem z filmu „Sami swoi”: sąd sądem, a sprawiedliwość celna musi być po naszej stronie. Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że to nie koniec tej sagi. Administracja szykuje już kolejne działania. ©©

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Kto korzysta na dezinwestycjach?

Rafał Woś

Inwestycje to jeden z wielkich toposów całej rozmowy o gospodarce. Kto? Gdzie? Za ile? O dezinwestycjach nie mówi prawie nikt. Niesłusznie.

Dezinwestycja (ang. divestment) to po prostu zwijanie inwestycji, co w praktyce oznacza redukcję działalności na danym terenie i całkowitą lub częściową sprzedaż posiadanych tam aktywów. Czy takie rzeczy się dzieją? Oczywiście – wszędzie i zawsze. Czasem wymusza to rzeczywistość ekonomiczna, bo przedsięwzięcie się zwyczajnie nie powiodło. Czasem przyczyna leży w polityce lub geopolityce, jak wówczas, gdy dochodzi do wyłączenia przez władzę publiczną lub nałożenia sankcji, które uniemożliwiają dalszą współpracę. Bywa też, że zmieniają się mody lub trendy. Jak ostatnio, gdy w krajach zachodnich zaczyna się pojawiać oczekiwanie, by rodzime firmy sprowadziły z powrotem do domu miejsca pracy wyeksportowane za granicę w czasach szalonej globalizacji łańcuchów dostaw.

Choć dezinwestycje to chleb powszedni normalnego gospodarczego żywota, nie ma zbyt wielu poważnych prac badających ich realne konsekwencje. Łukę tę postanowili wypełnić Holger Görg (Kiloński Instytut Gospodarki Światowej), Mao Haiou (Uniwersytet Rolniczy w Wuhanie w Chinach) oraz Nigel Driffield (Uniwersytet w Warwick). Wedle stworzonego przez nich modelu konsekwencje dezinwestycji (zwłaszcza tych zagranicznych) przychodzą w trzech rzutach. Natychmiastowym skutkiem jest wstrzymanie transferu wiedzy oraz innowacji z gospodarki bardziej zaawansowanej do mniej zaawansowanej. To zjawisko zachodzi jako pierwsze, bo w praktyce poprzedza fizyczne wycofanie się z inwestycji. Firmy

to mądre instytucje, które wiele rzeczy antycypują. Widząc, że jakaś część działalności będzie odcinana, serce organizacji przestaje tam pompować cenne zasoby, w tym wiedzę oraz zaangażowanie. Fizyczne zasoby pozostają na miejscu dłużej, ale na koniec są raczej kikutami niż żywymi pasami transmisji wiedzy i idei. Te zjawiska zwykło się postrzegać jako obiektywną stratę.

Po jakimś czasie przychodzi faktyczne zmniejszenie produkcji. To nieuchronna konsekwencja dezinwestycji. Zwijany oddział firmy po prostu zaczyna pracować na mniejszych obrotach albo wręcz w ogóle zamiera. Ma to szybki i bezpośredni wpływ na otoczenie. Mniejsza produkcja oznacza mniejszy popyt na pracę, czyli zwolnienia. Następuje też fizyczna sprzedaż majątku – maszyn, kontraktów, budynków albo ziemi.

Wpływ tych wszystkich procesów na lokalną gospodarkę nie jest oczywiście jednoznaczny. Zwolnienia pracowników oznaczają wzrost podaży pracowników na rynku, a więc wzrost bezrobocia. Lokalne firmy często jednak zacierają ręce, bo mogą teraz dostać lepiej wykwalifikowanego pracownika za niższą cenę. Wraz z pracownikami do tych firm napływa wiedza, za której pozyskanie trzeba było dotąd słono płacić. Lokalne firmy dostają więc w prezencie impuls rozwojowy, zwłaszcza że wraz z dezinwestycją zwalnia się część rynku zajęta dotąd przez konkurenta. Ci, którzy pozostają w grze, mogą ją teraz zagospodarować. To kolejny impuls do rozwoju, podobnie jak sprzedawane – zazwyczaj po atrakcyjnych cenach – maszyny, technologie czy ziemia.

Ekonomiści podjęli próbę przetestowania tego teoretycznego modelu na danych dotyczących chińskiej gospodarki. Zbadali lata 1998–2007. Był to oczywiście czas, gdy napływ zachodnich inwestycji do Chin był stale na wielkim plusie; niektóre firmy jednak się w tym czasie z Azji wycofywały. Efekty dezinwestycji dla lokalnych gospodarek były dostrzegalne w wynikach badania.

Jak to bywa, najciekawsze jest to, czego w nim nie ma. Nie wyczytamy z tej pracy niestety jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co się stanie, gdy zwijanie zagranicznych inwestycji stanie się trendem netto, czyli gdy dezinwestycji będzie więcej niż napływu kapitału. Czy może się okazać, że to wręcz wzmocni kraje, które – jak się dotąd zdawało – zależą od inwestycji jak trawnik od podlewania? Intrygująca myśl do podchwycenia przez kolejnych badaczy.

©P

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Bez pracy, bez rodziny

Brak perspektyw ekonomicznych dla mężczyzn skutkuje mniejszą liczbą małżeństw i pogorszeniem warunków materialnych dzieci

Przemiany rynku pracy coraz częściej analizowane są nie tylko przez pryzmat wzrostu gospodarczego, lecz także konsekwencji społecznych. Jednym z mniej oczywistych skutków długotrwałych szoków ekonomicznych jest osłabienie więzi rodzinnych i relacji intymnych – co szczególnie dotyka mężczyzn. Stabilne zatrudnienie odgrywa bowiem kluczową rolę w kształtowaniu pozycji społecznej i zdolności do tworzenia trwałych związków, a jego utrata może prowadzić do izolacji, bezczynności oraz narastającej samotności.

Zespół Davida Autora (MIT) pokazuje, że dezindustrializacja i konkurencja importowa z Chin doprowadziły do trwałego pogorszenia się sytuacji ekonomicznej mężczyzn, co obniżyło ich wartość na rynku małżeńskim i przyczyniło się do spadku liczby małżeństw, wzrostu bezczynności oraz narastającej samotności.

Badanie opiera się na dwóch teoriach. Pierwszą jest hipoteza Wilsona; sugeruje, że zanik miejsc pracy dla pracowników fizycznych zmniejsza pulę ekonomicznie bezpiecznych młodych mężczyzn, co zniechęca do zawierania małżeństw i niszczy tradycyjne role rodzicielskie. Druga natomiast opiera się na modelu Beckera; zakłada, że korzyści z małżeństwa wynikają ze specjalizacji gospodarstwa domowego (różnic w zarobkach małżonków). Spadek relatywnej pozycji ekonomicznej mężczyzn względem kobiet zmniejsza te korzyści, prowadząc do spadku liczby małżeństw.

Wyniki płynące z pracy zespołu Autora wskazują, że szoki handlowe

uderzyły w zatrudnienie w przemyśle zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Jednostkowy szok obniża udział młodych dorosłych pracujących w przemyśle o 1,06 pkt proc. W ujęciu długookresowym, obejmującym lata 1990–2014, przełożyło się to na spadek zatrudnienia w przemyśle o 2,5 pkt proc. (ok. 20 proc.) wśród mężczyzn oraz o 2,7 pkt proc. (ok. 31 proc.) wśród kobiet. Mimo że bezpośrednie straty zatrudnienia dotknęły obie płcie, ogólny wpływ szoków na sytuację na rynku pracy okazał się dotkliwszy dla mężczyzn. Wzrost konkurencji importowej doprowadził bowiem do relatywnego spadku zatrudnienia oraz wynagrodzeń młodych mężczyzn w porównaniu z kobietami. Spadki dochodów były szczególnie widoczne w dolnej części rozkładu zarobków, co potwierdza też o kurczeniu się grupy mężczyzn postrzeganych jako atrakcyjni ekonomicznie partnerzy na rynku matrymonialnym.

Z pogorszenia sytuacji ekonomicznej mężczyzn wynikają również inne negatywne zjawiska o charakterze społecznym, w tym nasilanie się różnego rodzaju patologii i wzrost śmiertelności. Utrata pracy przez mężczyzn pociągnęła za sobą istotne konsekwencje społeczne, takie jak wzrost bezczynności – zwiększył się odsetek młodych, którzy nie pracują ani się nie uczą. Ponadto regiony silnie dotknięte szokami handlowymi odnotowały wzrost umieralności mężczyzn z przyczyn takich, jak przedawkowanie narkotyków i alkoholu, HIV/AIDS oraz zabójstwa. Szacuje się, że nadmierna śmiertelność

odpowiada za ok. 14 proc. spadku udziału mężczyzn w populacji młodych dorosłych w tych regionach.

Badanie potwierdza również, że pogorszenie sytuacji ekonomicznej mężczyzn miało bezpośrednie przełożenie na procesy demograficzne. Jednostkowy szok handlowy zmniejsza odsetek zameężnych młodych kobiet o 0,95 pkt proc., a jednocześnie zwiększa odsetek kobiet, które nigdy nie zawarły małżeństwa o 1,2 pkt proc. Szok ten prowadzi także do spadku liczby urodzeń o 1,5 dziecka na 1 tys. kobiet. W przypadku gdy szoki handlowe dotyczą specyficznie branż zdominowanych przez mężczyzn, efekt ten jest wyraźnie silniejszy i wynosi aż 4,7 urodzeń mniej na 1 tys. kobiet.

Pomimo spadku ogólnej dzietności zaobserwowano wzrost odsetka matek samotnie wychowujących dzieci oraz dzieci żyjących w ubóstwie. Jednostkowy szok handlowy zwiększa odsetek dzieci żyjących poniżej granicy ubóstwa o 0,61 pkt proc. i odsetek matek samotnie wychowujących dzieci o 0,52 pkt proc.

Autorzy konkludują, że wyniki jednoznacznie potwierdzają hipotezę Wilsona. Zapaść zatrudnienia w przemyśle prowadzi do erozji struktur rodzinnych nie tylko wśród ubogiej ludności miejskiej (jak pierwotnie zakładał Wilson), lecz także w szerokiej grupie młodych dorosłych w całych Stanach Zjednoczonych. Brak perspektyw ekonomicznych dla mężczyzn skutkuje mniejszą liczbą małżeństw oraz pogorszeniem warunków materialnych dzieci.

©P

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Małżeństwo dla opornych”

Aleksandra

Makarska

Autorka jest ekonomistką GRAPE